

W NUMERZE: Michał Jawor: *Cyfry i litery*; Szymon Dereń: *Pakt sprzeczności*; Anna Rowicka: *Świat poetycki Ilakowiczówny*; J. Dobriakow: *Koronki*; E. Wanke-Dąbrowski: *O literackich mistyfikacjach*; Tadeusz Silnicki: *Tradycje godne przypomnienia*; Czesław Lewandowski: *I co dalej?*; Andrzej Odolański: *Tradycje*; Wanda Pieńkowska: *Ursus rozpiewany*; Stefan Lichański: *„Trzeba z tego czasu być“*; J. Ezupowiczowa: *Jakie książki są narzędziem automistyfikacji?*; Jan Zabiński: *Po co ogród zoologiczny?*; Zdzisław Umiński: *Mrs Heather Jenner zaprasza...*

ETIENNE GILSON

# OPTYMIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

WŚRÓD szerokiego ogółu utarło się mniemanie, że chrześcijaństwo jest z gruntu pesymistyczne, gdyż jedyny świat, o którym wiemy na pewno, że istnieje, przedstawia nam jako beznadziejny, a zachęca nas do pokładania wszystkich nadziei w świecie innym, o którym nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie istniał. Chrystus nieustannie wzywał do wyrzeczenia się dóbr tego świata, św. Paweł potępiał ciało i wychwalał dziewictwo, a Ojcowie pustelnicy, jak gdyby ogarnięci szałem obłędnej nienawiści do natury, uważali za konieczne żyć życiem, którego sam opis równa się całkowitemu zaprzeczeniu wszelkich wartości społecznych, lub choćby zwyczajnie ludzkich.

W końcu, średniowiecze kodyfikując niejako ustawy owego *contemptus saeculi* dostarczyło mu metafizycznego uzasadnienia. Skazony przez grzech, świat jest zepsuty aż do korzeni. Zły w samej swej istocie, jest on czymś, czego winno się unikać, co winno być negowane, tępić. Św. Piotr Damiani i św. Bernard potępiali wszystko, co różni się od natury. Na ich wezwanie tysiące młodzieńców i dziewcząt uciekało do samotni, podczas gdy inni, za św. Brunonem, chronili się w kartuskie pustkowia. Niekiedy znów założone już rodziny rozchodziły się, a ich członkowie korzystali z odzyskanej swobody, by do woli umartwiać ciało, uśmiercać zmysły, poskramić nawet działalność samego rozumu będącego znamię ich człowieczeństwa. *Ubi solitudinem fecerunt, pacem appellant.*

Czyż to obłędne dążenie całych pokoleń do unicestwienia nie było normalnym owocem chrześcijańskiej nauki? A negacja tej negacji, odrzucenie tego odrzucenia, czyż nie jest jednym z podstawowych twierdzeń świadomości nowożytnej? Afirmacja natury i wiara w zasadniczą dobroć wszystkich jej przejawów, ufność w jej nieograniczony postęp, jeśli tylko potrafimy dostrzec, co w niej dobrego, by wyciągnąć coś jeszcze lepszego, słowem afirmacja całkowitej dobroci świata i życia — oto czym jest optymizm nowożytny w swej zasadniczej przeciwstawności chrześcijańskiemu pesymizmowi. Odrodzenie wskrzesiło greckich bogów, lub przynajmniej ducha, który ich zrodził, Pascalowi przeciwiwstał się Wolter, św. Bernardowi — Condorcet.

Dałoby się może niejedno powiedzieć na temat rzekomo niezmaconej pogody greckiego świata, ale granice jego optymizmu wystąpiły wyraźniej na jaw w płaszczyźnie bardziej filozoficznej i nie teraz czas na ich omawianie. Natomiast należy już teraz zaznaczyć, że kiedy idzie o danie przekroju myśli chrześcijańskiej, nie należy zwracać się wyłącznie do bohaterów życia wewnętrznego. Więcej jeszcze, takie wyłączenie opieranie się na ich zeznaniach — bez powiązania tych zeznań z dogmatem chrześcijańskim, na który się sami powołują i który jedynie umożliwia rozpatrzenie treści ich działalności we właściwym świetle — może się okazać niebezpieczne. Jakkolwiek wielki jest św. Bernard i niezastąpiony jest nawet Pascal, sami oni jednak nie zdołają zająć miejsca całej wielowiekowej tradycji Ojców Kościoła i myślicieli średniowiecznych. Tak więc, jak zawsze zresztą, świadkami *par excellence* pozostają i tu św. Augustyn, św. Bonawentura, św. Tomasz i Duns Szkot, ale przede wszystkim samo Pismo św., z

kotórego zarówno jedni jak i drudzy czerpali natchnienie.

Rzeczywiście bowiem wystarczy przeczytać pierwszy rozdział z Księgi Rodzaju, by natrafić na zasadę, która pozostanie już na zawsze niewzruszonym punktem oparcia tego, co zamierzam nazwać optymizmem chrześcijańskim. Stajemy bezpośrednio przed naczelnym faktem stworzenia i dowiadujemy się, że to sam Stwórca oglądając u schyłku każdego dnia swe dzieło stwierdza nie tylko, że to On je uczynił, ale także, że skoro On je uczynił — jest ono dobre: *et vidit Deus quod esset bonum*. Wieczorem zaś szóstego dnia, Bóg obejmując jednym spojrzeniem całość kształt swego dzieła sam Sobie może złożyć to świadectwo i orzec, że jego stworzenie jest bardzo dobre: *vidit que Deus cuncta quae fecerat et erant valde bona* (Rodz. I, 31).

Oto co — od czasów św. Ireneusza — stanowi kamień węgielny chrześcijańskiego optymizmu. Jak zawsze, nie znajdujemy tu żadnej metafizyki, natomiast znajdujemy coś, co pozwala na odrzucenie niejednej metafizyki, zanim się ustanowi nową. Wszystkie sekty gnostycyckie — obarczające jakiegoś niższego demurga odpowiedzialnością za stworzenie, „aby tym łatwiej rozgrzeszyć Boga z zarzutu stworzenia złego świata“ — zostały natychmiast potępione jako niechrześcijańskie.

Świat, dzieło dobrego Boga, nie może być pojmowany jako wynik podstawowego błędu, upadku, niewiedzy, czy jakiegokolwiek ulomno-

ści. Więcej jeszcze, bo Ireneusz uważa i bardzo wyraźnie stwierdza, że optymizm chrześcijański wynika siłą rzeczy z chrześcijańskiego pojęcia stworzenia. Dobry Bóg, który wszystko uczynił z niczego i stwarzane przez siebie byty nie tylko darmo obdarza istnieniem, ale przydziela każde do poszczególnych zakresów, nie mógłby ściśle trzymać, że materia należy do dziedziny nie-bytu, a mimo to jednocześnie, że jest ona realnym źródłem zła. Jakąż pokusą musiała być podobna koncepcja dla zachwycanego Plotynem młodego Augustyna? Sprowadzić zło do materii dodając, że jest ona bez mała niczym — czyż to nie najprostszym sposobem wytłumaczenia wszystkiego, co w świecie jest z konieczności niedoskonałe? Dlaczego więc nie przyjąć tak dogodnego rozwiązania?

Był to, jak wiadomo, jeden z tych problemów, które najokrutniej dręczyły młodego Augustyna. On również spotkał się najprzód z gnostycyzmem w postaci manichejskiego dualizmu, od którego odszedł tego dnia, kiedy porzucił sektę, do której przez czas jakiś należał. Niemniej, choć pozbył się gnostycyzmu Manesa, nie pozbył się jeszcze wszystkich trudności, wciąż bowiem jeszcze nie potrafił wyjaśnić obecności zła w świecie stworzonym przez Boga. Jeśli Boga nie ma, to skąd pochodzi dobro? Jeśli zaś Bóg istnieje, to skąd wzięło się zło? Na to pytanie Plotyn podsunął mu odpowiedź mającą swe źródło w bardzo starej tradycji greckiej, która ożyła zapewne w jego umyśle właśnie pod wpływem tak często zwałcanego przezeń gnostycyzmu. Czemuż by nie przyjąć, że źródłem zła jest materia? Skoro był

jest dobrem — to, co jest przeciwnieństwem bytu, musi być z konieczności złem.

W pewnym więc sensie materia jest nie-bytem, ale nie-bytem platońskim, czyli nie jest dokładnie nie-istnieniem, ale nie-dobrem. Takie ujęcie pozwala Plotynowi utrzymywać, że materia należy do dziedziny nie-bytu, a mimo to jednocześnie, że jest ona realnym źródłem zła. Jakąż pokusą musiała być podobna koncepcja dla zachwycanego Plotynem młodego Augustyna? Sprowadzić zło do materii dodając, że jest ona bez mała niczym — czyż to nie najprostszym sposobem wytłumaczenia wszystkiego, co w świecie jest z konieczności niedoskonałe? Dlaczego więc nie przyjąć tak dogodnego rozwiązania?

Po prostu dlatego, że nie jest ono żadnym rozwiązaniem. Odpowiedź Plotyna doskonale kojarzy się z całokształtem jego systemu, gdyż jego Bóg nie jest Bogiem-Stwórcą w biblijnym i chrześcijańskim znaczeniu tego wyrazu. Nie on jest odpowiedzialny za istnienie materii, toteż nie jest odpowiedzialny za jej naturę, która może być zła niezależnie od tego czy on sam miał być zły. Jakże jednak mógłby Augustyn wybaczyć Bogu-Stwórcy, że uczynił materię złą, albo nawet, że pozostawił ją złą, jeśli ją taką zastał? Toteż rozważwszy w świetle biblijnego objawienia założenia filozoficzne Plotyna, Augustyn niebawem je przewycięża.

Byłoby z punktu widzenia chrześcijańskiego pesymizmem nie do

przyjęcia, jak również literalna sprzecznością, aby materia miała być zarazem stworzona i zła. Nas w tej chwili obchodzi, w jaki sposób ten optymizm religijny stał się optymizmem metafizycznym. Z próbą o wyjawienie nam tajemnicy tej przemiany najlepiej będzie zwrócić się właśnie do św. Augustyna. A wyjaśnienie znajduje się i tym razem w Księdze Wyjścia.

Św. Augustyn bowiem z niezwykłą przenikliwością dostrzegł i wspaniale wyraził, że materia nie może być w żadnym razie uważana za złą, nawet jeśli widzimy w niej tylko zwykłą zasadę możliwości i nieokreśloności. Wyobraźmy ją sobie nawet sprowadzoną do minimum, tj. ciałkiem bezkształtną i bezjakościową, mimo to pozostaje ona jednak pewną pojemnością formy, pewną sposobnością do przyjęcia formy. To oczywiście niewiele, ale nie można powiedzieć, że nic.

Idźmy dalej: jeśli coś jest zdolne do tego, by stać się dobre, nie znaczy to jeszcze, że jest ono bardzo dobre, ale znaczy już, że jest dobre. Z pewnością jednak w żadnym razie nie może znaczyć, że jest złe. Lepiej jest być mądrym niż móc się nim stać, ale sama możliwość stania się mądrym już jest pewną zaletą. Podobne dyalektyczne racje przedstawiają już same w sobie znaczną wartość, ale nabierają istotnej wagi dopiero w związku z zasadą służącą im za podstawę i wyznaczającą właściwe miejsce w całokształcie filozofii chrześcijańskiej: jeśli materia jest do-

bra, można być pewnym, że jest ona dziełem Boga — i tu tkwił błąd manichejczyków. Lecz i na odwrót; jeśli jest dziełem Boga można być pewnym, że jest dobra — i tu tkwił błąd Plotyna. „Tedy w sposób wspaniały i boski, Pan nasz rzekł słudze swemu: *Ego sum, qui sum*, a następnie: *Dices fillis Israel: Qui est misit me ad vos*. (Wyjść. III, 14). Bo jest on prawdziwie sobą, skoro jest niezmienny. Wszak każda zmiana sprawia, że to, co było — nie jest. Ten więc jest naprawdę, kto jest niezmienny. Co zaś się tyczy innych rzeczy przez Niego uczynionych, od Niego to każda na swój sposób otrzymała byt. Skoro jest On samym Bytem, znajduje swe jedyne przeciwnieństwo w tym, co nie jest.

Wskutek tego, podobnie jak wszystko, co jest dobre, przez niego istnieje, tak wszystko co znajduje się w przyrodzie — istnieje, bo wszystko, co jest w przyrodzie, jest dobre. Jednym słowem cała natura jest dobra. A ponieważ: *wszystko, co jest dobre pochodzi od Boga, więc cała natura pochodzi od Boga*. Oto zasada, na której wspiera się chrześcijańska afirmacja zasadniczej dobroci wszystkiego, co jest.

Również ta sama zasada posłuży do wyjaśnienia tego wszystkiego, co w naturze jest złem. Chrześcijaństwo bowiem nie przeczy istnieniu zła, lecz wykazuje jego charakter negatywny, przypadłościwo, uzasadniając tym samym nadzieję w możliwość jego usunięcia.

przełożył Jan Rybałt

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

## Między teorią a praktyką — DOŚWIADCZENIE

### Podsumowanie, lecz nie zakończenie dyskusji

Muszę szczerze stwierdzić, iż dyskusja, tocząca się na łamach „Dziś i Jutro“ wokół problemu kapłana społecznie postępowego — rozczarowała mnie. Spodziewałem się znacznie więcej. Dyskusja właściwie niewiele pogłębiła zagadnienie tak jak i niewiele przyniosła istotnych akcentów polemicznych. Rzecz charakterystyczna: odgłosy zewnętrzne były znacznie bogatsze od planu samej dyskusji. Na biurku redakcyjnym zebrało się sporo ciekawych listów od mniej czy bardziej nieznanymi mi czytelników. Obok krytyk było tam sporo cennych uwag praktycznych. Również i niemały odgłos zyskała nasza publicystyka za granicą. Poważny i żywy dwutygodnik katolicki francuski „Actualité Religieuse“ poświęcił jej długi, rzeczowy i dobrze udokumentowany przegląd. Zainteresowały się nią środowiska chrześcijańsko-demokratyczne w NRD. Nawet „Observatore Romano“ poświęciło naszym wypowiedziom aż dwuspaltowy artykuł, z którego niestety bije coś więcej niż ignorancja — zła woia w rozumieniu problematyki społecznej katolików w Polsce Ludowej. Wszystko razem wskazuje jednak, że tematyka naszej dyskusji trafiła w sedno współczesnych zainteresowań i to nie tylko w naszej, krajowej skali. To wszystko wskazuje także na to, że, jeżeli czytelnicy byli najwyraźniej przygotowani na odbiór stawianej problematyki, to publicyści nie byli jeszcze przygotowani

do jej dokładnego przeanalizowania.

Na czym polega istotny, moim zdaniem, błąd w dyskusji? W unikaniu odwoływania się do konkretnych — do naszej praktyki w działalności społecznej, do codziennych problemów, stawianych przez duchowieństwo, do doświadczeń działaczy świeckich, obcujących stale z księżmi społecznie postępowymi.

Bez wątpienia pierwszym winnym tego stanu rzeczy jestem ja sam, skoro otwierałem dyskusję. Najwidoczniej źle ją otworzyłem. Przebieg dyskusji potwierdza zresztą ten zarzut, gdyż zeszła ona właśnie głównie na zagadnienia teoretyczne, na samą problematykę społecznego postępu bardziej niż na sprawy kapłana społecznie postępowego. Istotnie sprawy teoretyczne zajęły sporo miejsca w moich artykułach wstępnych. Miały jednak prowadzić do wniosków praktycznych, do wniosków przede wszystkim ideowo-wychowawczych.

Założenia ideologiczne ruchu społecznie postępowego katolików są w istocie proste i na ogół dobrze już znane. Wszystko jednak wskazuje na to właśnie, że są „za proste“. Znaczący to, że nie są dostatecznie rozwijane i komentowane, by stać się podstawą dla przemyślanego i dobrze obwarowanego argumentami stanowiska, jakie musi zajmować kapłan społecznie postępowy wobec reakcyjnego przeciw-

nika. Nie wystarczy przeświadczenie, że ma się rację, trzeba jeszcze umieć to innym udowodnić.

#### SAMOKSZTALENIE IDEOLOGICZNE

Budowanie założeń ideologicznych ruchu społecznie postępowego katolików polskich odbywało się w specjalnych warunkach. Przez szereg lat twórcza praca ideologiczna była udziałem wąskiego grona ludzi. Dokonali oni bez wątpienia dużego dzieła. Mało się jednak wówczas troszczyli i mało mieli okazji do przekazywania swych przemyśleń szerszemu gronu odbiorców. W rezultacie — w chwili gdy Porozumienie postawiło przed katolikami społecznie postępowymi dalekosieżne zadania — okazało się, że język ideologiczny ruchu społecznie postępowego jest hermetyczny, trudny do zrozumienia dla szerszego ogółu. Różnica mentalności i pojęć między tym uformowanym już „aktywistą“ a księdzem o najlepszych chęciach lecz ideowo surowym okazała się ogromna.

Ruch społecznie postępowy burzy ogromną ilość myślowych przyzwyczajeń wśród katolików polskich, a najwięcej właśnie wśród duchowieństwa. Jednocześnie odkrywa najzupełniej niespodziewane perspektywy apostołskie i wydobywa z zapomnienia wielkie prawdy chrześcijańskie, przez Kościół katolicki głoszone dotąd bez oddźwięku.

Praca więc w przyswajaniu sobie i porządkowaniu nowych pojęć jest olbrzymia. Odbywa się w warunkach trudnych i ideologiczna publicystyka katolicka (na łamach „Dziś i Jutro“ przede wszystkim) nie odpowiada w dużej mierze zapotrzebowaniu, jakie zgłasza katolicki ruch społecznie postępowy.

Wacław Auleytner zauważa słusznie, że „niekiedy ksiądz społecznie postępowy nie ma jeszcze w niektórych punktach skonkretyzowanych podstawowych zagadnień światopoglądowych i nie podejmuje dyskusji na skutek braku argumentacji, którą mógłby się swobodnie posługiwać przy konfrontacji swoich poglądów z poglądami dyskutantów“.

Słusznie też odpowiada na to książdź Maćkowiak, iż „stoi przed kapłanem społecznie postępowym trudna droga samokształcenia; droga pokonywania oporów wewnętrznych, napotykania w sobie samym, jak i również oporów zewnętrznych, stwarzanych przez jednostki niechętnie postępowi“.

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, iż to samokształcenie winno się oprzeć na dostatecznie bogatej w przemyślenie i jednocześnie dostatecznie przystępnej publicystyce ideowej, której szczegółowa cena winna być też na tych łamach przedyskutowana.

Nie jestem więc osobiście w żadnej mierze wrogiegi kontynuowa-

nia w naszej publicystyce dyskusji nad takimi pojęciami jak „postęp“ czy „światopogląd“. Intelktualiści mają prawo badać systematycznie wszystkie pojęcia, jakimi się posługuje nasza ideologia. By praca ta jednak nie pozostała akademicka, musi ona być w stałym, żywym kontakcie z samym życiem ideowym naszego ruchu, które się właśnie kształtuje w codziennej praktyce działacza, zarówno świeckiego jak i duchownego.

#### KONFRONTACJA TEORII Z PRAKTYKĄ

Ten kontakt jest stanowczo zbyt słaby, jest dowodem pewnego kryzysu w naszej pracy intelektualnej, zarówno światopoglądowej, jak i ideowo-społecznej. Zamierzam moim było sprowadzić dyskusję właśnie na drogę konfrontacji z praktyką naszej działalności, tymczasem znów uciekla ona ku teorii.

Tadeusz Myślik, w swej bardzo ciekawej choć zbyt lakonicznej wypowiedzi tłumaczy się w sposób dla mnie zastanawiający, że: „Bardzo trudno jest działaczowi społecznemu, który pracuje w terenie, ująć w ramy artykułu — sprawy, których dyskusji poświęcił dziesiątki a może setki rozmów, sprawy, które wywołują na progu każdej polemiki, każdej wymiany zdań“.

Nad tym enigmatycznym zdaniem zastanawiałem się sporo. Jeśli bowiem autor chciał po prostu

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

powiedzieć, że trudno rezultaty se-tek rozmów zmieścić w jednym artykule, to dlatego, że u licha, nie napisał ich paru? Rozsądniej będzie raczej wnioskować, że natłok prze-myśleń i doświadczeń nie został jeszcze usystematyzowany, że wnio-ski nie zostały jeszcze wyciągnięte. Otóż właśnie chodzi o to, by ten proces przyspieszyć, gdyż wnioski te są nam wszystkim niesłychanie potrzebne.

Napotykały poważne trudności w naszej pracy nad kształtowaniem sylwetki ideowej i moralnej współczesnego księdza społecznie postępo-wego. Niech się cieszą reakcjonści z tego stwierdzenia, bo z tej uciechy nie wiele będzie dla nich po-żytku. Ruch społecznie postępowy, jeśli chodzi o rozwój swych wpływów wśród polskiego duchowień-stwa wygrał bezapelacyjnie swą walkę o ilość. W swej ogromnej większości duchowieństwo polskie stoi dziś świadomie na pozycjach Porozumienia, na pozycjach czyn-nego uczestnictwa w życiu Polski Ludowej. Dziś jednak toczy się bi-owa o jakości aktywu katolickich działaczy społecznych, o dojrzałość ideową, o wzrastające poczucie od-powiedzialności, o obejmowanie co-raz to nowych odcinków w myśle-niu i w działaniu. Dlatego właśnie tak wielkie znaczenie ma zagadnie-nie postawy kapłana społecznie postępowego.

Chodzi mianowicie o to, że ogrom-na większość duchowieństwa pol-

skiego otrzymała wykształcenie nie odpowiadające potrzebom naszej epoki. Nie odpowiadające nawet po-rzebom minionego dwudziestolecia. Otrzymawało wykształcenie, które nie zachęcało, nie przygotowywa-ło do samodzielnej dalszej pracy umy-słowej. Gdy wąska garstka elity po dużych miastach kształciła się nadal, choć w ściśle zamkniętym kółku ludzi i zagadnień, najszersza rzesza kapłanów skazana była na zasklepienie się w rutynie co-dziennych obowiązków. Rzeczywi-stość powojenna zburzyła tę rutynę, ale zburzyła również i owo kruche rusztowanie „poglądów”, wyniesionych z dawnych lat stu-diów. Otóż dziś napotykaamy po-ważną trudność, gdy przychodzi do budowania na to miejsce czegoś no-wego i twórczego.

Konserwatyzm w wielu wynika po prostu z chęci obronienia się przed nieodczynnym wysiłkiem my-słowym, jaki pociąga za sobą wszel-ka rewizja utartych pojęć. Obser-wacja nie jest moja, dzieliło ją ze mną wielu poważnych kapłanów, zarówno intelektualistów jak i osi-awiających w praktyce parafialnych „terenowców”. W rezultacie tej stagnacji szwankuje nie tylko roz-wój przemysłów ideowych. Stwier-dzam groźny fakt zastoju na od-cinku najbardziej palącym — prze-myśleń ściśle duszpasterskich, prze-myśleń etycznych, które powodują narastające trudności w kontakcie między spowiednikiem a peniten-tem, między wiernym a kaznodzie-

ją. W tym sensie walka o kapłana społecznie postępowego jest pro-stitu walką o dobrego kapłana w ogóle.

#### DWA PRZEDAWNIONE WZORCE

Owa rzekoma sprzeczność zacho-dząca między obowiązkami kapłań-skimi a działalnością społeczną księdza z tego właśnie wyrasta podłoża. Z niezrozumienia najbar-dziej istotnego związku, jaki zachodzi między sakralnymi zadaniami kapłana a koniecznością pozna-nia, więc tkwienia w nurcie życia swej epoki. Mamy odziedziczone z przeszłości dwa wzorce negatywne — wzorec księdza-politykera i wzorec księdza-dobroczyńcy. Pierwszy jest wręcz negatywny, gdyż wyrasta z podłoża osobistych am-bicji człowieka, który chce się wy-bić w życiu publicznym, w pełni korzystając z demagogii dlatego, iż nie umie znaleźć swojej drogi w swoim powołaniu kapłańskim. W rezultacie prowadzi do oportunisty, gdy politykierowi jest obojęt-ny komu czy czemu służy, byleby jego ambicje były zaspokojone.

Drugi jest pozornie pozytywny, lecz tym bardziej niebezpieczny. Jest swoistym odbiciem paternalizmu i wiąże się z przeświadczeniem o zbawiennej roli człowieka wyż-szego nad niższych, iż normalną konsekwencją dzieła społecznego jest zdobycie dla siebie autorytetu, prawa przewodzenia i rządzenia innymi. Dzieło było nie raz samo

w sobie dobre, lecz atmosfera, w której wyrastało — moralnie fałsz-owała. Rewolucja ludowa uderzyła w samą treść tak pojętej „dobro-czynności społecznej” realizując te-ż, że reforma dzieje się i dla lu-du i przez sam lud.

Ksiądz, jako działacz społeczny znajduje się więc w najupokreślonej nowych warunkach. W ramach pro-gramu Frontu Narodowego znajdu-je się wprawdzie miejsce i dla nie-go również, nie tylko dla świeckiego katolika, lecz okoliczności pracy są zupełnie inne, niepodobne do tych, do których przywykł. Stwo-rzenie tego nowego typu księdza uspołecznionego, który by sprostał wszystkim wymogom świadectwa katolickiemu światopoglądowi i jednocześnie miał postawę w całej pełni służebną sprawie własnego narodu i jego społecznej rewolucji — to bardzo trudne i odpowiedzial-ne zadanie. Mamy na pewno do za-sygnalizowania ważne osiągnięcia, niech o tym świadczy akcja Kom-isy Działaczy Katolickich przy Fron-cie Narodowym w powiecie Wołów na Śląsku lub w Ołkuskiem. Niemniej w skali krajowej ta właśnie potrzeba krystalizowania nowego typu działacza stanowi dużą trud-ność w pogłębieniu postawy kapła-na społecznie postępowego.

#### DUCHOWNI I ŚWIECCY

Jeśli wylizcam tu niektóre z lic-nych problemów, charakteryzują-cych problematykę społecznej po-stawy duchowieństwa, to bynaj-mniej nie po to, by rozstrząsać za-

# HKT

jego filia, Centralny Bank Kredyto-wy Ziemiński... Tak zamknięto się koło ag-itationi i geszeftu.

Ponadto jeszcze o-slawiony „Niemiecki Wschód”, dający Rzeszy rzekomo nie-ziemne korzyści, był w aspekcie ogólnop-ństwa państwowym bardzo kiepskim interesem! Indywidualni niemiec-cy, działający na tym wschodzie, mu-sieli na przykład o-trzymywać specjalny dodatek do pensji — tzw. Ostmarkenzulage (Dodatek marci w wschodnich).

W 1913 r. zdarzyło się, że w sa-mej tylko Pile 80 urzędników wy-stąpiło z Hakaty, ponieważ... kom-isy budżetowa Reichstagu odmó-wiła im dodatku wschodniego! Trudno o lepszy przykład jak owi „patrioci” traktowali całą akcję antypolską i swoją przynależność do polakowskiej organizacji — a tak-że i „niemiecki” charakter „wscho-du”. Mieli zresztą najzupełniejszą słusność — na agitacji antypol-skiej inni zarabiali grubo więcej, niż wynosił dodatek do pensji ur-zędnika.

4.

Ogólnie biorąc, wszystkie wnio-ski, jakie wynikają z faktu, iż Ha-kata była przedsiębiorstwem To-warzystwa Dyskontowego w Berli-nie, da się sprowadzić do trzech za-sadniczych aspektów.

Przed wszystkim — Hakata łą-czy się ze wszystkim: innymi po-czynaniami Discontogesellschaft, Ha-kate rozpatrywać można tylko w całości, nie można badać rolę tego wielkiego imperialistycznego ban-ku. Unikamy hipotez; ale zapewnić możemy, że badania te przyniosły niemało oszałamiających niespod-zianek. Już wspomniany Miquel wskazu-je, że bank ów miał o wiele więk-szy wpływ na rządzenie Niemcami niż by się zdawać mogło.

Po drugie — Polak ma się tu nad czym zastanowić, aby pojąć właściwie, prawdziwe źródła wszyst-kiego, co określił słowem „hakatyzm”. Inaczej patrzy się na nacjonalizm, kiedy się go uważa za zjawisko żywiołowe, pokrewne bur-zom i przyptymom morza — a inaczej, kiedy widzi się w nim zjaw-isko o określonych społeczno-eko-nomicznych przyczynach.

A skoro się spojrzy na nacjona-lizm, jako na zjawisko wywołane sztucznie (rozumujemy się — mo-wa tu o nacjonalizm jako o choro-bliwym kulc'e i wywołaniu własnego narodu, nie o powstaniu narodowości i narodów oraz o mi-łości własnego narodu w ogóle) — i to wywołane w celach nieczyste-go zysku, wtedy także i pro domo sua znajdzie się wniosek niejed-nym. Bardziej, że tutaj nie mamy powodów do dumy narodowej: nasz nacjonalizm powstawał w ogromnej mierze na obraz i podobieństwo niemieckiego.

Wreszcie trzecie i najważniejsze: ma się tu nad czym zastanowić Niemiec. Już redaktor Krysiak pi-sał, że wydaje swoje dokumenty (opublikowane wraz z komentarza-mi w całości po niemiecku): „...o interesie narodu niemieckiego. Oby naród niemiecki poznał z tych do-kumentów — dodawał polski dzien-nikarz — jakie to potajemne i zio-wieszcze sity i wpływy obróty stare pojęcia o niemieckiej wier-ności w sztyrdstwo i w bioto, po-zbawity naród niemiecki wszelkie-go zaufania kulturalnego świata i tak szanibity niemieckie dobre imię, że cale pokolenia będą jeszcze dżwigaty ten niesamowity ciężar

Cóż zaś powiedzieć dzisiaj! Wszak nie co innego, jak właśnie odzyska-nie zaufania dla Niemiec w świe-cie jest jednym z haseł Niemieck-iej Republiki Demokratycznej.

Michał Jawor

rzuty, czy podważać autorytet sta-nu kapłańskiego wśród wiernych. Sygnalizujemy trudności, na jakie napotyka rozwój działalności księ-dza społecznie postępowego dla te-go, że jesteśmy wspólnie zaintere-sowani w tym, by je jak najszy-biej przezwyciężyć. Świeccy, jako ci, którzy z natury rzeczy najmocniej tkwią we współczesności, na pewno łatwiej mogą dostrzec wypaczenia czy zapóźnienia w dzisiejszej kato-lickiej mentalności społecznej. Po-wołuje to nieraz w następstwie pewien stan napięcia wewnątrz ka-tolickiego ruchu społecznie postę-powego między duchownymi i świeckimi. Świeccy bowiem bywa-ją skłonni wyrażać swą krytykę w tonie zbyt mentorskim, podczas gdy z kolei duchowni chcą względami prestiżowymi bronić się przed roz-patrywaniem stawianych im zarzu-tów. Bez wątpienia dobro autory-tetu i zwartości wewnętrznej ru-chu wymaga, by obie strony wyka-zały maksimum taktu i wzajemne-go szacunku.

Nie ulega jednak wątpiwości, że właśnie na tym odcinku ruch spo-łecznie postępowy stawia księdzu-działaczowi nowe i trudne proble-my. Ma pełną rację Tadeusz Mysł-lik, gdy przekonuje, że w prze-ciwieństwie do starego typu księ-dza-konserwatysty —

„...ksiądz społecznie postępowy powinien rozumieć, że tworząc kon-struktywną krytykę tego, co w in-stytucji kapłaństwa jest ludzkie — nie tylko nie szkodzi, ale przeciwnie, pomaga do przeanalizowania popełnianych często błędów, może nawet całkowicie nieświadomych, i do ich całkowitego wyeliminowa-nia”.

Sądzę jednak, że przydałoby się równoległe przypomnieć działaczom świeckim, że korzystając w sposób dojrzały z tego prawa krytyki nie mogą nigdy tracić z oczu ich pod-stawowego obowiązku budowania całą swą aktywnością autorytetu duchowieństwa, na którym opiera się przecież istotna struktura Ko-ścioła.

W ten sposób podsumowaliśmy najogólniej najważniejsze problemy wychowawcze, jakie nam stwarza nowa postawa społeczna współczes-nego kapłana, który chce działać w nowej, ludowej rzeczywistości. Nie wolno się jednak zatrzymać na tych, głównie negatywnych, kry-tycznych wnioskach.

Wydaje mi się, że dyskusja, któ-ra będzie się tak czy inaczej dalek toczyć (na łamach prasy, czy w se-tekach rozmów, obojętnie) powinna dążyć do sformułowania pewnej ilości pozytywnych nakazów, jako haseł obowiązujących w dalszej pracy kapłanów społecznie postępo-wych.

#### PARĘ PROPOZYCJI

Oto moich parę propozycji:

1) Postawę kapłana społecznie postępowego cechuje świadomość, iż te same założenia jego światopog-lądu kierują jego działalnością re-ligijną i społeczną. Korzystając w pełni z tej inspiracji chrześcijańskiej w pracy społecznej — nie naduży-wa on nigdy argumentu religijnego w dziedzinie społecznej, tak jak i nie nadużywa argumentu społecz-nego dla swej aktywności religij-nej.

2) Wielkim ale bardzo odpowie-dzialnym osiągnięciem ruchu spo-łecznie postępowego jest uświadom-ienie katolikom zadania walki o to, by praktyka przykazania mi-łości bliźniego odbywała się jedna-kowo konsekwentnie w życiu in-dywidualnym i społecznym. Epoka mieszczańska oddzielała etykę pry-watną i publiczną. Współczesny chrześcijanin wchodzić powinien w życie społeczne z przeświadczeniem, że przykazaniem miłości chrześ-cijańskiej objąć bliźniego — lecz ca-łokształt stosunków społecznych. Wówczas to będzie dążyć konsek-wentnie do radykalnej zmiany tych

stosunków, a nie tylko do „łatania dziur”, czy zachowywania „pozor-ów miłości” w świecie podzielo-nym na ciemniejszych i ciemnie-ższych.

3) Wylamanie się z getta „kato-lickich wzorców społecznych” jest następną cechą charakterystyczną postawy społecznie postępowej. Jest nieprawdą, iż katolik nie ma nic do powiedzenia w dziedzinie społecz-nej w imię swej wiary. Prawdą jest jednak, iż wiara nie daje żadnych gotowych formulek ustrojowych. Wszelkie takie właśnie formułki, lansowane w ciągu ostatniego wie-ku okazały się w rzeczywistości tylko intelektualnym oszustwem, przeznaczonym dla kokietowania katolików dla obcych ich moralno-ści programów społecznych.

4) Praktyka działalności w ra-mach ruchu społecznie postępowego uczy nas doceniać doświadczenie i prawdziwą wiedzę społeczną, jako bazę, na której dopiero można bu-dować swój system moralny. Rewo-lucja społeczna i walka klasy spro-botnej wniosły tę wiedzę, spraw-dzoną w najtrudniejszych warun-kach. Jest naszym obowiązkiem, zrzucając pychę z serca, przyjąć do wszystkiego, co zdało egzamin przed rzeczywistością, po prostu przed człowiekiem. Tylko z tej bazy wy-chodząc, możemy wnieść do budo-wni przyszłości naszą własną pro-blematykę moralną i światopogła-dową.

5) Ruch społecznie postępowy u-czy poznawać w katolicy nie tylko współwyznawcę naszej wiary, ale również budowniczego nowego społeczeństwa lub reakcjonistę, wstecz-nika, wroga postępu i udoskonalenia. Działacza dojrzałego poznamy po jego umiejętności pokonania prze-ciwnika. Jakkolwiek ta świadomość jest przykra — nie wolno nam ni-gdy pod pozorem „solidarności ka-tołickiej” zaniechać walki przeciw wpływom reakcji. Przeciwnie, nie mieszając płaszczyzny religijnej ze społeczną — tym mocniej należy walczyć z postawą reakcyjną — im bardziej się wierzy w słusność własnej postawy. Problem walki z reakcją należy do najtrudniejszych dla księdza-działacza, który, jako kapłan i jako człowiek ideowy ma obowiązek nie tylko afirmować pewną postawę, ale właściwymi mu środkami przeciwstawiać się jej wrogom.

6) Ostatni z moich wniosków — to stwierdzenie faktu, że postawa społecznie postępową każe niezmiernie rozszerzyć własne hory-zonty myślowe. Właśnie zwycięstwo sprawy ludowej, budowa podstaw socjalistycznych stwarza koniecz-ność oderwania się od indywidual-nego spojrzenia, każe ogarnąć nie tylko sprawę narodową, widzianą w jej społecznym przekroju, ale każe również codziennie przeżywać sprawę walki o wolność odległych mas robotniczych, jeszcze bardziej odległych uciemiężonych ludów ko-lorowych. Jeśli ktoś nie odczuwa tej walki w skali ludzkości, jako najbardziej swojej własnej — nie jest członkiem ruchu społecznie postępowego. Umysłowość kapłana winna być, ze swego ukształtowa-nia, jak najbardziej otwarta dla postawy internacjonalistycznej. Nie-stety bardzo często tak nie jest, gdyż brak po prostu wiedzy o ży-ciu świata, zbyt długo oglądanego przez różowe, idylliczne okulary minionego, seminaryjnego stylu.

Oto, moim zdaniem, krag spraw, zresztą bardzo niepełny, jakimi powin-niśmy żyć, by skryształować idea-ową sylwetkę katolickiego dzia-łacza społecznie postępowego, a wśród nich w szczególności nowo-cześniejszą sylwetkę kapłana i działacza.

Dyskusja na ten temat toczy się nadal. Nie tylko w słowach, ale i w czynach. Podsumowanie daje nam codziennie ocena naszego wkładu w budowanie Polski Ludowej.

Wojciech Kętrzyński

MICHAŁ JAWOR

## CYFRY I LITERY

LITERY „HKT” zasłużyły sobie w Polsce na złą sławę. Słowo „hakatysta” ma dla każdego z nas, wyraźny sens i dopiero słowo „hitlerowiec” wyparło je w naszym słowniku na dalszy plan. Nie-słusznie zresztą — w dzisiejszych Niemczech zachodnich bowiem, gdzie jak bagienne kwiaty w niez-drowym powietrzu kwitną groźne niedobitki nacjonalizmu niemieckiego, są i hakatyści starej szkoły, i hitlerowcy. Kanclerz Ade-nauer należy do tych pierwszych.

1.

Skrót HKT pochodzi od nazwisk trzech spośród inicjatorów i zalo-życieli „Ligi popierania niemiecz-ny w Marchiach Wschodnich”, nazwanej później (1899) krótko „Li-ga Marchii Wschodnich” (Ostmar-kenverein).

Był to: Ferdinand von Hanse-mann — „Pempowo” (1861—1900), Herman Kennemann — „Klenka” (1815—1910), Heinrich von Tiede-mann — „Seeheim” (1843—1922).

Jest niewątpliwym zaniedbaniem polskiej nauki historycznej w mi-nionym okresie, że tak mało wiemy o sprawie tak dla nas ważnej jak HKT. Nie ma w języku polskim solidnej monografii o Hakacie — nie ma żadnego opracowania nau-kowego tego zagadnienia. A tylko ta metoda odsonki można to, co nazwalibyśmy... „notorycznymi re-welacjami” o Hakacie.

Rewelacje — bo któż u nas wie, że za literami HKT kryje się jeszcze jedna litera — ważniejsza niż tamte trzy. Litera „D”. Wśród największych banków niemieckich wysunęły się na czoło pod koniec XIX wieku cztery tzw. „D-Ban-ken”: Deutsche Bank, Dresdner Bank, Darmstädter Bank i Discontogesellschaft.

Tutaj mamy na myśli ostatnie z tych „D” — „Towarzystwo Dyskontowe”.

Ferdinand Hansemann z Pepowa był synem Adoifa Hansemanna (1826—1903), naczelnego dyrektora Discontogesellschaft, a wnukiem założyciela banku Dawida (1790 — 1864), b. pruskiego ministra finan-sów. Heinrich von Tiedemann z Jeziorek był prezesem rady nad-zorczej Pruskiego Centralnego Banku Kredytowego Ziemińskiego, — który stanowił filię Discontogese-lschaft. Oba te fakty znaleźć można w encyklopediach i leksykonach.

W roku 1894, kiedy zakładano Hakate, Hermann Kennemann z Kieki, jeden z największych obszar-ników w ówczesnych Prusach, miał już za sobą trzydzieści lat bliższej współpracy z Discontogesellschaft. Współpracownikiem Banku był rów-nież bardzo daleki (jeżeli w ogóle) krewny Heinricha z Jeziorek, Chri-stoph von Tiedemann — „Krantz” (1836—1907), długoletni prezydent rejencji bydgoskiej, a przede wszystkim szef kancelarii Rzeszy i prawa ręk Bismarcka, jego zausznik do spraw wyjątkowo waż-nych i poufnych, przez czas dłuż-szy jeden z dwóch najbliższych współpracowników „żelaznego kan-ciera” — także wybitny polako-werca, autor memoriału, który stał się podstawą utworzenia nie mniej od Hakaty osławionej Komisji Ko-lonizacyjnej. — Dależy działacz Hakaty i zarzem kierownik Discontogesellschaft — to Heinrich von Kusserow, wuj Ferdinanda Hansemanna.

Sądzimy, że czytelnik dawno już sobie postawił wielką kropkę nad tym ogromnym „I”: Hakata była tedy w swojej zasadniczej istocie

przedsiębiorstwem wielkiego imperialistycznego banku.

Wnioski tłoczą się nie-trudnie, nie do odpedzenia! W ka-pitalistycznej powieści kryminal-nej pytanie brzmi: kto zabił? W kapitalistycznej historii pytanie formu-luje się: kto i na czym zarobił?

Tutaj odpowiedź nie jest trudna. Widzieliśmy — Bank Kredytu Ziemińskiego maczał w tym palce. Przed Hakatą była Komisja Kolo-nizacyjna... i setki milionów fun-duszu kolonizacyjnego. Tego fundu-szu, za który Polska niepodległa omal jeszcze nie płaciła w Wersalu z tytułu „terytorialnego” udziału w niemieckich i pruskich długach pań-stwowych. Hakata staje przed nami w nowej postaci: nie tyle wiel-kiego zamachu na polską ziemię i wielkiego jej zaboru, — ile przede wszystkim wielkiej spekulacji pol-ska z ziemią. Nie tylko polską zreszt-ą — każdą byle zarobić. Interesy Towarzystwa Dyskontowego w Ber-linie sięgają bowiem archipelagu Samoa i dalekiej Wenezueli...

2.

Przed czterdziestu laty, przed pierwszą wielką wojną, pewnym polskim ośrodkiem ówczesnego Ber-lina udało się uzyskać dostęp do tajnych akt Hakaty. Wielka liczba dokumentów została wówczas skopiowana czy sfotografowana. Zdo-byte w ten sposób dokumenty mia-ły być opublikowane już w r. 1914, ale przeszkodził temu wybuch woj-ny. Wydał je dopiero w 1919 r. w Poznaniu F. S. Krysiak, b. redak-tor naczelny „Dziennika Berlińskiego”.

Jakkolwiek dokumenty te nie u-kazują wspomnianych tu przez nas rzeczy najważniejszych, to jednak są niezmiernie ciekawe i wiele od-słaniają. Tak np. Krysiak przyta-cza dwa bardzo ciekawe listy: pró-bę o pożyczkę hipoteczną 200 do 225 tysięcy marek, z którą niemiecki obsznik Dietrich z Ostrowa Szlacheckiego pod Wrześnią zwró-cił się osobiście do Tiedemanna — i odpowiedź tego ostatniego, któ-ry znów odsyła „patriotycznego”-łowcę pieniędzy (jestem dobrym niemieckim mężem — pisał Dietrich pragnącym oddać swoje słabe siły do rozporządzenia naszej słusznej niemieckiej sprawie... za 225 ty-sięcy!) po kredyt do Centralnego Pruskiego Banku Kredytowego Ziemińskiego, nie zachęcając go zresztą szczególnie. Ale Krysiak ani słowem nie wspomina, że to była właśnie instytucja współkierowana przez Tiedemanna, o czym dowie-dzieć się można choćby z leksyko-nu „Kto to jest” (Wer ist's). Nieo-strzeganie rzeczy leżących na wierzchu ma więc u nas starą tra-dycję.

Wszelako dokumenty opubliko-wane przez red. Krysiaka mówią więcej, niż dosłyszal sam ich wy-dawca. Wynika z nich, że finanso-wy charakter Hakaty nie był sek-retem po stronie niemieckiej, ce-go dowodem nieprzejrane mnóstwo listów i podań z prośbą o popar-cie finansowe, przede wszystkim o pożyczki. Prośby te były z lekka zawaolowane interesem „Niemczy-zny na Wschodzie” — najczęściej wnioskodawcy uważają, że wystar-czy był Niemcem i mieszkać na ziemiach polskich, by mieć prawo do energicznego finansowego po-parcia ze strony Ligi i rządu. Trud-no sobie wyobrazić, aby niemieccy inżynierowie z Poznania zwracałi się do tego rodzaju instytucji o po-życzki trzydziesto- i czterdzieści-tyścioletnie, gdyby nie wiedzieli, że za Ligą stoi jeden z najwięk-szych banków w Niemczech.

Wiedzieli o tym także władze pruskie. Tak np. w końcu 1900 roku

nadprezydent poznański Bitter zwracał się do Hakaty o pomoc w wal-ce z operacjami hipotecznymi pol-skiego Banku Parcelacyjnego. Trze-ba wiedzieć, że Discontogesellschaft było m. in. najważniejszym bankiem hipotecznym w Niemczech. Kiedy indziej zresztą sama Hakata miesza się w jakieś bardzo niewyraźne sprawy parcelacji domen państw-owych koło Międzychodu, to znów interesuje się dyskontowaniem polskich weksli przez Bank Rzeszy; a na jednym z posiedzeń zarządu Tiedemann obwieszcza, iż niemieckie banki hipoteczne zawarły porozumienie, że nie będą udzielały kredytów na polskie nieruchomości. Liga postanawia też oddziaływać w ogóle na banki „w duchu naro-dowym”. Kryja się za tym wszyst-kiem, być może, myśl o wyparciu „narodowymi” hasłami konkuren-cji i uzyskania dla Discontogese-lschaft monopolu na interesy z Po-lakami; przy uniędośćpieniu tym ostatnim innych źródeł kredytu był-oby to monopol tym zyskowniejszy.

Liga starała się także „zarobić na siebie” przez zdobywanie skła-dek, ofiar i zasiłków drogą zebra-niny połączonej z szantażem politycznym i prasowym. Jest coś z tradycji krzyżackich w tym zbie-raniu po całej Rzeszy funduszy na „walkę narodowościową” na wschodzie, w tej agitacji „niemiecko-wschodniej”, zaszczepiającej nie-nawiść do niewidzianych na o-cy Słowian na przykład w Bade-nii, na dalekim południowo-zachod-nim krańcu Niemiec: „Pogadanki dla młodzieży, urzędane od trzech lat przez zarząd oddziału w Karls-ruhe, okazały się bardzo skuteczne” raportuje z Badenii w 1900 r. major w stanie spoczynku Kressmann. W końcu 1913 roku Związek Kopał w Dortmund przynajmniej Hakacie zasiłek roczny 3000 marek.

3.

Tak oto sieje się w duszach mło-dych Niemców zatrute chwasty — i tak gromadzi się fundusze. W dwadzieścia lat później owi mło-dzi słuchacze hakatystycznych po-gadank z Karlsruhe głosowali za-pewne na Hitlera. Nie inaczej Za-kon ścigał sobte kiedyś ochotni-ków do walki z Polską i Litwą z całego Zachodu i nie inaczej na-pelmiała się słynna „ziota wieża” w Malborku. I nie inaczej — pod wzmożonymi hasłami ukrywano brudne interesy feudalnych panów niemieckich na wschodzie i zachodzie przed oczami niemieckiego lu-du, który w rzeczywistości za to wszystko płacił.

Bowiem z jednej strony prze-mystowcy składali Hakacie pieni-ądze, wyciąniące z robotnika niemie-czego — a z drugiej Hakata szar-żowała na wszelkie sposoby, i nie bezskutecznie, do kasy państwo-wej. Wszak pruskim ministrem finansów w latach 1890—1901 był Johannes von M'uel (1828—1901), swego czasu (1870—73) współdyrek-tor Discontogesellschaft! Ten był anachista, karierowicz, zapoczątko-wał praktykę popierania narodo-wościowej polityki antypolskiej pie-niędźmi publicznymi. — W Wielko-polse i na Pomorzu Gdańskim tamtejsi nadprezydenci mieli na przykład do dyspozycji specjalne, ogromne „fundusze dla popierania niemieczyny”, a o taki sam fundusz starała się usilnie Hakata dla o-berprezydenta Prus Wschodnich — nawiasem mówiąc, niezłe świade-ctwo polskości Warmii i Mazur! Gdyby obejrzeć bliżej sprawę fun-duszy kolonizacyjnych, inicjowa-nych przez Christopha Tiedeman-na, przekonalibyśmy się zapewne, że realizował je — z niezłym zarob-kiem — czołowy niemiecki Bank hipoteczny, Discontogesellschaft i

SZYMON DEREŃ

## SEATO — PAKT SPRZECZNOŚCI

W realizacji swych agresywnych planów dyplomatia amerykańska dąży m. in. do zawiera-nia paktów regionalnych umożli-wiających tworzenie wypadowych baz strategicznych skierowanych przeciwko państwom demokratycz-nym. System ten ma się opierać na trzech głównych ugrupowaniach: pakt atlantycki, wspólne dwo-dzwo-Bliiskiego i Środkowego Wscho-du oraz blok Azji południowo-wschodniej.

Jeśli chodzi o tzw. azjatycki blok „obronny” charakterystyczne jest, że został on zaktywizowany wła-snie w momencie, gdy zarysowały się możliwości pokojowego zlikwi-dowania wojny w Indochinach. Warto również podkreślić, że pro-pozycje stworzenia nowego paktu Azji południowo-wschodniej Dulles wysunął w przedmni konferencji genewskiej.

Nowy protest przeciwko próbom storpędowania konferencji gene-wskiej i oświadczył, że nie weźmie udziału w przygotowaniu nowego bloku na Dalekim Wschodzie dopó-ki nie zostaną wyczerpane wszelkie możliwości pokojowego załatwienia sprawy Indochin.

Specjalnie ostro zaprotestowały przeciwko projektom awantur wo-jennych w Azji tamtejsze państwa narodowe. Na konferencji w Co-lombo w maju br. rządu Indii, Pa-kistanu, Indonezji, Burmy i Cejlo-nu przeciwstawiły się planom Sta-nów Zjednoczonych „wykorzystania Azjatów przeciwko Azjatom”, po-petniając wszelkie przejawy kolonializmu i próby kontynuowania „brudnej wojny” w Indochinach. Główny organizator tej konferencji, Indie, zmanifestowały wyraźnie swe stanowisko neutralne, rozu-miane jako nieangażowanie się do wszelkich bloków tworzonych przez wielkie mocarstwa. Ich stanowisko, wrogie w stosunku do zakusów dy-plomatii amerykańskiej, zostało podkreślone specjalnie wyraźnie w rozmowach premierów Nehru i Czuou En-laia, podczas których sformu-lowano zasady będące podstawą wzajemnych stosunków państw azjatyckich dążących do zachowa-

## ŚWIAT POETYCKI IŁAKOWICZÓWNY

„Mówi do mnie dzień mój  
powszedni,  
mówi noc od dnia samotniejsza:  
„O czym bajesz?! Co to są znów  
za jedni?!  
Jakże krąg twoich widzeń się  
zmniejsza!”

(Z cyklu „Zagubiony brzeg” —  
„Popiół i perły”)

Te autoironiczne słowa wiersza Iłakowiczówny potraktować można jako jeden z akcentów podkreślających sferę tematycznych jej zainteresowań. W bogatej twórczości poetki niewiele miejsca zajmują wiersze z tezą społeczną i polityczną — co więcej — pewna część politycznych wierszy z okresu dwudziestolecia międzywojennego zasługuje na zdyskwalifikowanie ze względu na ich fałszywe ideologiczne stanowisko. Zakres przedmiotów, że posługujemy się tu terminologią logiki, stanowiących dziedzin tematowych Iłakowiczówny, to przede wszystkim twory świata fantazji i baśni, animizowane elementy roślin, bardzo osobiste, egocentryczne wspomnienia i refleksje. Tylko jednak pobieżne prześledzenie się nad wierszami tych licznych zbiorów poetki mogłoby podkopać — jakże fałszywą opinię — o ich malej ważkości, czy pustocie.

W ciekawym artykule o fantastyce słusznie wyróżnił Stefan Lichański (St. Lichański, „Prawo do bajki” — „Dziś i Jutro” Nr 17, 54 r.), dwie niejako możliwości posługiwania się tą formą w utworach literackich: fantastyka była wyrazem irracjonalizmu, agnostycyzmu i rezygnacji z dyskursywnego myślenia, może być również narzędziem służącym jako specyficzny, artystycznie sugestywny wyraz myśli mądrej, głęboko ludzkiej. Ta druga forma wydaje się cechować przepojone fantastyką wiersze Iłakowiczówny.

Świat wizji poetki zaludniony przez różnego rodzaju „Straszylaczki”, „Strzygi”, „Duski”, szepczące róże i „wzruszone smoki” nie stanowi pochwały irracjonalizmu czy agnostycyzmu poznawczego, lecz nasycony jest atmosferą dobra, humanizmu, litości. Fantastyczne twory Iłakowiczówny — to interesujące istoty, wymagające uwagi i współczucia, tęskniące za człowieczeństwem, wyzwalające w czytelniku coś w rodzaju pokory i żalenia: godzimy się z poetką, która innym jeszcze prócz ludzi bytom, bytom „możliwym” — brzydkim i niepotrzebnym według ludzkiej miary — wyznacza miejsce na ziemi. Przeszycone fantastyką wiersze — legendy i baśnie, przewartościową utartę, zimne schematy reakcji uczuciowych i ukazują różne potworki, straszylki i strzygi w „świecie dodatnim”. Zgodnie z tym stanowiskiem — „wliczysko chytne, przyczone” znajduje osłonę i opiekę w osobie Matki Boskiej, dzięki odrazać zewnętrznie „Miedziany rybak” okazuje się opiekunem tonących dzieci, św. Barbara uważa za stosowne modlić się o pożywienie dla zgłodniałych myszy, które zresztą wzbudzają w czytelniku zdecydowaną „sympatię”.

nia pokoju. Są nimi: wzajemne poznanie integralności terytorialnej i suwerenności, powstrzymanie się od wszelkich napadów, wzajemne niewtrącanie się do spraw wewnętrznych, pokojowe współistnienie, równość praw i rozwój stosunków opartych na obustronnych korzyściach.

Wyniki konferencji genewskiej były poważną porażką dla dyplomacji amerykańskiej, gdyż przekreśliły jej plany rozszerzenia wojny w Indochinach. Formalnie musiały się ona z nimi pogodzić, lecz natychmiast podjęła nowe gorączkowe starania podminowania rezultatów konferencji genewskiej przez dalsze próby tworzenia bloku wojennego w Azji południowo-wschodniej. W wytworzonej sytuacji dyplomacja amerykańska zmuszona była działać w sposób bardziej zawaolowany, niż przy pierwszych próbach tego rodzaju; chodziło o maskowanie celów agresywnych oszukawczą frazeologią „obronności”. Dlatego rządzący czynniki Stanów Zjednoczonych sięgnęły do wyświechtanego środka propagandowego, polegającego na głoszeniu niebezpieczeństwa ekspansji komunistycznej, aby budować blok daleko-wschodni na wzór faszystowskiego „paktu antykominternowskiego”.

Pierwszą próbą w tym kierunku było zwolanie przez lisymanowskie i czarkaiszewskie marionetki konferencji „antykomunistycznej” w Seulu w lipcu br. Impreza ta skończyła się całkowitym fiaskiem, gdyż żadne z większych państw azjatyckich nie przejawiało chęci wzięcia udziału w tej prowokacyjnej konferencji. Wówczas dyplomacja amerykańska wysunęła

Świat poetycki Iłakowiczówny — każdy kwiat, drzewo czy chmura komarów — istnieją życiem pełnym tajemnicy i piękna w swej prostocie. Jest w tych wierszach coś, co atmosferą swą przypomina filmy baśniowe (np. radziecki film „Szkarałatny kwiatusek”), w których wszystko coś znaczy, rusza się i żyje, a zarazem tchnie jakimś urzekającym ciepłem i dobrocią. Obok wierszy-ballad i wierszy-legend — długich, narracyjnych, operujących szeroko, epicką frazą, pisze poetka małe, krótkie cacka, pozbawione zwykle point. Zdumiewa w nich osiągnięcie walorów artystycznych przy niezwyklej prostocie środków wyrazu i „prostocie tematów”. Już to przyznać trzeba, że poetka nie szuka daleko ani daleko tematów, które wylaniają się niejako same, spychają się wzajemnie, walczą o prawo pierwszeństwa. Najbardziej „prozaiczna” czynność, najbliższy z pozoru element świata zewnętrznego znajduje sobie z łatwością artystyczną formę słowną. Wystarczy przypomnieć piękne w swej prostocie, krótkie wierszyki: „Liście”, „Poziomki” czy „Wrzosi” z tomu „Popiół i perły”, „Róża i księżyc”, „Wzruszony smok” ze „Zwierciadła nocy” czy „Liście klonowe” z „Placzącego ptaka”.

Wiersze refleksyjne, bardzo już „osobiste” — to inny dział liryki Iłakowiczówny. Na nich może stosunkowo najczęściej znać styl młodopolski z jego ustawicznym motywem śmierci i miłości. Poetka również widzi miłość jako siłę zabijającą, tragiczną, a śmierć — to ucieczka przed niepokojem i cierpieniem. O tym, że autorka potrafi trzeźwość i realizm swego w. d. z. przekazać również w „adekwatnej” formie, świadczy cykl jej „charakterów” — imion z „Czarodziejskich zwierciadełek”. Te zobiektywizowane charakterystyki ludzi — „Gustawów”, „Piotrów” czy „Alicji”, ciekawe, sugestywne, pełne wdzięku świadczą o dużej zdolności psychologicznego obserwowania.

Dość poczesne miejsce w twórczości Iłakowiczówny zajmują wiersze o tematyce religijnej. Wyróżnić tu można z grubsza dwa typy: stylizowane legendy o świętych i wiersze nasycone elementem subiektywnym, w których narrator — „wypowiadacz” występuje w pierwszej osobie. Te ostatnie wiersze określają osobisty stosunek „wypowiadacza” — założmy tu — autorki, do spraw Bożych. Postawa religijna poetki, daleka od rygoryzmu intelektualnego, a także od ortodoksji w rozumieniu prawd religijnych, nasykana jest uczuciowością bardzo rozlewną, nie kierowaną, „karpyną”. Zatrzymanie się na zjawiskowej stronie przeżyć religijnych, poprzestanie na czysto ludzkim, niekiedy wąskim, ograniczonym nieznanością boskich planów widzeniu rzeczywistości — to postawa skupiająca znaczną część religijnych przeżyć poetyckich autorki. Przeżywa te, to — jak już niejednokrotnie w krytyce stwierdzano — ciągle szukanie, niepokój, poczucie słabości wiary, powodujące niekiedy bolesną rozterkę. W związku z tego typu cechami uczuciowości religijnej wierszy Iłakowiczówny mówiono nie bez słusz-

ności o romantyzmie postawy życiowej poetki (np. K. Czachowski). Postawa ta daleka jest od ciszy franciszkańskiej — konsekwencji posiadania Boga, poczucia bliskości wobec Niego, z drugiej strony — ani śladu w niej wewnętrznej zmagania się z sobą w dążeniu do zbliżenia się do Boga, ani śladu tego uporczywego, konsekwentnego szukania, które każe wyrzekać się i „lamać” wewnętrznie. Poetka-narrator w swym niepokoju i słabości zgadza się niejako z tymi postawami.

Jest natomiast uczuciowość religijna autorki nacechowana niemną pokorą, wykluczającą jakiegokolwiek zakłamanie w ocenie własnej wewnętrznej osobowości. Wykazują poza tym niektóre wiersze religijne Iłakowiczówny jakieś bardzo niecierpne, trafne, a przy tym i wzruszające wdziękiem ujęcia rozumienia spraw istotnych dla religii katolickiej, a zarazem spraw ludzkich. „Rozmowa ze świętą Magdaleną” („Z głębi serca”) ukazuje w artystycznym obrazie ważne niezmiernie zagadnienie, mianowicie siłę oczyszczającą miłości człowieka do Boga, a z drugiej strony — ogrom miłosierdzia i całkowitego zapomnienia o grzechu:

„Nie wiem, nie pamiętam... Cała  
jestem pożoga...  
Nigdy przedtem nie było nikogo...  
Nie doświadczyłam, nie walczyłam,  
nie wiem — co pokusa  
Stoję u stóp Chrystusa...”

(„Rozmowa ze św. Magdaleną”)

„Legenda o świętym Priorze” — to wiersz otwierający na chwilę drzwi mieszkania pokory i mieszkania pychy i chciwości. Chciwości bez dna, pokory i miłości przetwarzającej — również bez dna, nie spotykanych w tym nasileniu w życiu „normalnym”, trudnych do pojęcia, wzbudzających dreszcz grozy swą głębią i ogromem. Charakterystyczne jest w wielu wierszach Iłakowiczówny to połączenie prostoty i „lagodności” formy (długa fraza, prawie zawsze żeńskie rymy, rozlewny liryzm) z ostrym, wyraźnym konturem silnym aż do fanatyzmu uczuć. W „Opowieści małżonki świętego Aleksandra” („Złoty wianek”) daje poetka dowód swej umiejętności wielostronnego widzenia prostych z pozoru faktów. Droga świętości Aleksandra, niewątpliwa w swej czystości — łączy się tu z krzywdą „doczesnych spraw” drugiego człowieka.

Motywy religijne wielu wierszy Iłakowiczówny mają głównie dekoracyjny charakter. Wizualne ujęcia, postaci świętych, licznych aniołów, chwiejących „ogromnymi, cichymi piórami” i Matki Boskiej zawsze w błękitnym płaszczu, nie odbiegają po stronie od tradycyjno-dewocyjnych, legendowych koncepcji. Niewątpliwie, ryzykowne to ujęcia. Autorka przechodzi w nich często nad brzegiem przepaści — przepaści banalu, „cukierkowatości”, mdłych, błyszczących oleodruków, przedstawiających właśnie takich świętych z aureolami, w różowych lub błękitnych szatach i złocistowłosych, uskrzydłych aniołów.

wo-wschodniej byłby sprzeczny z pozycją neutralności i nieangazowania się do bloków ideologicznych, co jest kamieniem węgielnym polityki Indii i zaprzyjaźnionych z nią państw. Zresztą, również Wielka Brytania i Francja wzięły udział w konferencji w Manili z dużym jedynie ociąganiem się, ulegając tylko silnej presji Stanów Zjednoczonych. Wywołany ich duże niezadowolone nie delegując swych ministrów spraw zagranicznych, podczas gdy sekretarz stanu Dulles zjawił się osobiście.

Ostatecznie pakt SEATO został w Manili podpisany, z wniesieniem jednak do niego szeregu poprawek, głównie na żądanie Wielkiej Brytanii i Francji. Usunięto z motywu „niebezpieczeństwo komunizmu”, zastępując je bardziej ogólnym słowem „agresja”, a spod działania paktu wyjęto Tajwan i Hong-Kong. I w swej ostatecznej formie pakt ten ma charakter wyraźnie wojenny i sprzeczny z interesami państw azjatyckich, które ma chronić przed rzekomą agresją... wbrew ich woli.

Najistotniejsze są postanowienia zawarte w artykule II paktu, które przewidują zobowiązania uczestników „zapobiegania i przewycięzania działalności wyrotowej”. Oznacza to chęć mocarstw kolonialnych — gdyż w praktyce tylko one biorą udział w zawartym pakcie — ingerowania w sprawy wewnętrzne krajów narodowych Azji. Poza tym sfera działania paktu objęła również południowy Wietnam, Laos i Kambodżę, co jest sprzeczne z literą i duchem porozumień genewskich.

Szymon Dereń

Nie obawiamy się jednak. Spadnięcie w tego rodzaju przepaść nie grozi poetce. Jej wiersze s w i a d o m i e „pobożne i dziecinne” — jak mówi tytuł jednego z cykli — to zamrożone stylizacje, nasładowe w tym wypadku tradycyjnemu ludowe i dziecięce wyobrażenia.

Zjawisko stylizacji tkwi, jak się wydaje, u podstaw prawidłowego rozumienia poezji Iłakowiczówny. Ono to właśnie jest jednym z głównych źródeł oryginalności jej wierszy, sprawiającym, że wśród plejady poetów dwudziestolecia międzywojennego nie trudno każdy nieomal, nawet nieznaną wiersz Iłakowiczówny rozpoznać. Poetka debiutowała w r. 1912 tomem „Ikarowe loty”. Znaczną część tego zbioru to jeszcze wyraźne plody modernizmu: egocentryzm w połączeniu z tematyką śmierci, tęsknoty, samotności i ograny, abstrakcyjno-wzniosłym słownictwem. Wszystko to bardzo „na serio” w zamierzeniu, a dość nieudolnie i mało ciekawie — w efekcie. Mam tu na myśli takie choćby wiersze, jak: „Pieśń o lesie” — czy niektóre z cyklu „Ach, dokądże mam pójść z moją tęsknotą”. Piętno modernizmu, o którym krytycy Iłakowiczówny tak często wspominali, tkwi niewątpliwie i na późniejszych jej poezjach. (Np. na wielu wierszach ze zbioru „Śmierć feniksa”, na niektórych z „Polowu”). Niemniej jednak — pojawia się stopniowo i coraz wyraźniej nowy sposób wyrażania rzeczywistości — forma stylizacyjna. Poetka przeprowadza swoje wizje artystyczne przez pryzmat psychiki dziecka, bądź człowieka z ludu, obdarzonego bezpośredniością, żywiołową reakcją, szczerością uczucia, zdolnością do zachwyty, płaczu i śmiechu. Stylizacja — jedna z ciekawszych form podawczych dzieła literackiego, wpływa szokująco na niewyrobionego czytelnika, a może stać się źródłem cennych wartości artystycznych pod umiejętną, wprawą ręką. Ciekawe i celowe byłoby przeprowadzenie drobiazgowej nawet analizy środków, dzięki którym osiąga Iłakowiczówna stylizację „na ludowość”, „na język i psychikę dziecka”, czy na style określonych epok historyczno-literackich (np. wiersz „Sukienki” ze „Słownika litewskiego” stylizowany na język „Trenów”, czy romantyczne stylizacje cyklu „Dumanie korsarza” z „Trzech strun”).

Ograniczmy się tu do wskazania paru takich elementów nasycających wiersze poetki określonym, pożądanym przez nią stylem. Posługiwanie się nazwami konkretnymi, a unikanie abstrakcyjnych, unikanie elips myślowych i „zewnątrznych”, składniowych, operowanie długą frazą, wyraźne wielomówność — wszystko to niewątpliwie nadaje wierszom Iłakowiczówny ton u p r y m i t y w n i a j a c y, stanowiący podstawę stylizacji ludowych i dziecięcych. Nieokreśloność czasowo - przestrzenna „akcji” ballad i legend ma niewątpliwie na celu zbliżenie tych utworów do pieśni ludowych, również odznaczających się tą cechą. Wreszcie — nie przypadkowo zapewne wprowadza autorka do swych wierszy fantastykę i liczne personifikacje, mające wartość autonomiczną, nie zaś — jak to bywa normalnie w poezji — pełniące rolę elementów budowy figur i tropów poetyckich. Stylizacja — świadome i celowe nasylenie utworu literackiego określonym, jednolitym elementem leksykalno - składniowym, a zatem i elementem „psychicznym”, rzuca światło na wiersze religijne Iłakowiczówny, na pewną przynajmniej część „ballad bohaterskich”, na liczne baśnie, wreszcie — na wiele liryków erotycznych: nie dewocyjna religijność, nie naiwne — patetyczny stosunek do historii, nie fanatyczna uczuciowość — cechują postawę twórczą poetki — jakby mogło wydawać się niewyrobionemu czytelnikowi. Autorka świadomie ukazuje rzeczywistość realną i wyobrażeniową z różnicą, zasadniczo obcych jej psychicznie stanowisk, sprzeczających się do widzenia — jak powiedzieliśmy — uprimitwniającego, niezmaconego drobiazgową refleksją i sceptycyzmem. Ciekawe byłoby prześledzenie momentów ocuciowych „na pierwszy rzut oka”, ale nie od razu dających się teoretycznie sprzecyzować — wyróżniających utwor s t y l i z o w a n y np. „na ludowość” od utworu „l u d o w e g o”, stylizowany „na patos”, od najwinnie, niezamierzenia patetycznego itp. Szczupłość ram tego artykułu nie pozwalała nam na zajęcie się tym nietalnym zagadnieniem. Niewątpliwie, do takich wyróżniających czynników należy stopień artyzmu, a także silny element wyraźnej p r z e s a d y. Słusznie zestawiano twórczość poetycką Iłakowiczówny z twórczością malarską Stryjeńskiej (m. in. S. Kołaczowski, i K. Czachowski). Jednak zbyt ogólnikowo i fragmentarycznie zajmowano się wspólną dla obu twórców cechą — formą stylizacyjną. Zagadnienie stylizacji utworu literackiego domaga się swego miejsca w badaniach teoretycznych i historyczno - literackich.

Anna Rowicka

MARIAN OSNIAŁOWSKI

## Leszczyna

„Spłynął miękko mrok granatową kołdrą,  
Niepokoi liście z chmur kąpiący blask.  
Szorstki czarny świerk, w stajni chrzęści obrok,  
To noc gdy leszczyny czują trwożę gwiazd.

Już słowików nie ma. Lato jest jak sok  
z nadeptanej śliwki, trwoni słodką treść.  
Uszy czujnie wzniosł pies mój żółty w mrok...  
Mgła z nad łąk i rzek wpełza komuś w pieśń.



## W górach sowich

Pachnący świerków cień,  
Słowików chór co noc,  
Świtem tu wsącza w dzień  
Cichutką skargę drozd.

Na dnie zielonych dni  
Gorący lata dreszcz,  
Tu nie zobaczy nikt,  
Całuj się, ile chcesz.



## Świdnica

Z mglistych drzew kapie jesień w ulice.  
Cieknie z skrzydeł noc barokowym aniołom,  
Jeszcze wierszem ostatnim całuje Świdnicę —  
Ton pada drozd.  
Liść drzącą struną —  
ogród sowań woła.  
Cień katedry głęboki fiolet,  
trwa Merkurego wstrzymany bieg  
i górskie na wietrze melodie...  
gałązek w niebie ścieg.

## Piosenka

Liście z topól opadają  
w alejach, w ogrodach.  
Piękni w pięknych się kochają...  
głęboka woda, zielona woda.

Sina mgła, szare oddale,  
czerwone owoce —  
jakże się w tej mgle odnaleźć  
zielone noce, głębokie noce.

Opadają liście z klonów,  
jesionów, lip, topól,  
już się ciemnym pąsem win  
dom oplótł.

Deszcze srebrne, deszcze siwe  
odchodzi październik —  
nie spotkają się jesienią  
latem rozłączeni.

Śniade konie, konie kare  
nikt nie jedzie po nas,  
liście z topól opadają,  
piękni w pięknych się kochają  
głęboka woda, woda zielona.



rys. Bohdan Sleskin

## KORONKI

1.

babka Praksesta wracała od sąsiadki, z którą przyjaźniła się od zgorą pól wieku, w „lekkiej fermentacji ducha”, jak mawiał dziadek Teodozjusz, który lubił wyrażać się w sposób kwieciasty. Wówczas nie czekał już na herbatę, ale od razu wlał na piec świdrując babkę oczyma kołącymi jak szpilki jeża. Za to dziewczęta natychmiast otaczały ją, oczekując z niecierpliwością na kolejną opowieść:

— A bywało, dziewczynki, i tak — zaczynała babka Praksesta, jakby ciągnęła dalej przerwana rozmowę. — Przyszło od królowej Hiszpanów do ruskiego cara podanie: tego owego, proszę cię, kochany kumie, przyslij mi z łaski swojej koronkową mantylę z samych najprzedniejszych nitczek. No cóż, car, samo przez się, nie może odmówić, bo przecie krewniaczka prosi. Zaraz tedy każe obwieścić, czy jest, powiada, w moim państwie, taka koronkarka, żeby to zrobiła i żebym, powiada, wstydu się nie najadł? A jakże, powiadają mu, jest nad rzeką Suchonią we wsi Zarodowo Praksesta Kwaznina. Ta nie tylko mantylę, ale...

— Łżyj, łżyj, stara wiedźmo — mruczy na piecu dziadek Teodozjusz.

Dziewczyny i same doskonale wiedziały, że babkę Praksestę ponosi fantazja. Uśmiechają się, ale dyskretnie, żeby ta się nie obraziła. Ale i śmiechki ucichały, gdy babka sięgała do kutego kuferka, by wydobyć stamtąd wielki papier ze złotymi brzegami i dwugłowym orłem, albo okrągły medal z podobizną strzelistej wieży, to znów dyplom w safianowej okładce z herbem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

— Łże, nie łże, ale medal „Grand Prix” kto dostał? — podejmuje babka z wyrzutem, a że na starość zaczęła gardliowo wymawiać niektóre dźwięki, francuskie słowa brzmią w jej ustach, jakby była rodowitą paryżanką.

Ale najbardziej lubiły dziewczęta, gdy babka zaczynała opowieść o tym, jak powstawały nowe rysunki wzorów, znanych im od dzieciństwa. Wówczas te wszystkie „kółka”, „kokardki”, „fantaski”, „pieniążki”, „brzożki”, „gródki” i „muszki” wkomponowywane były w codzienne, miłe dla oka, obrazy wiejskiej natury i chłopięcego życia. Jak gdyby koronkarka chodząc po drodze zbierała do koszyka wszystko, co jej wpadło w oczy, a potem wybierała stamtąd to, co najpiękniejsze, by przenieść na desce, pod palce, szybko przebiegające w gąszczu sześćdziesięciu albo i większej ilości par klocków.

Raz do roku, latem, przyjeżdżał z miasta instruktor Związku Koronkarzy, Terencjusz Kapralow, jegomość korpułentny i głośny, w ruskiej koscziuli i wysokich butach-biotowcach. Wstępował do dwóch-trzech izb koronkarek, a potem zniknął na cały tydzień, by polować na dzikie kaczkę. Na zakończenie wygłaszał prelekcję. Słuchano go nieuwadliwie: mówił o nikomu nieznanym koronkach brabanckich i leodyjskich, bolewał, że koronkarstwo upadło w Belgii. Ale w Zarodowie nie interesowano się zbytnio losami belgijskiego koronkarstwa. I tylko babka Praksesta, aby nie obniżyć swego autorytetu, stwierdzała z powagą: „Wiem, czytałam coś o tym” — choć wszyscy wiedzieli, że poza czytaniem wozu koronkarskiego, innych rzeczy nie czytała, bo nie znała abecadła.

A na zakończenie instruktor miał zwyczaj wygłaszać formułę, która dziewczęta zawsze doprowadzała do pasji. Biorąc do ręki jakąś narzutkę albo kapę zwyczaj był mruzczyć z dezaprobatą:

— Same kółeczka i wstążeczki, nie tylko geometria... Nie, wy w koronkach duszę swoją mi dajcie! Czy rozumiecie mnie, dziewczyneczki-przeplóreczki!

— Duszy ma się, staremu diabłowi, zachciewa — zrzędziła babka Praksesta po wyjściu instruktora. Ano, spójrzcie dziewczynki, czy w tym wzorku jest dusza, czy jej nie ma?

I rozwijała przed nimi koronkową dróżkę z pomysłowym i niezwykle pięknym rysunkiem, w którym znać było i wielki talent, i twórczą fantazję. Było to ulubione dzieło staruszki, nazywane przez nią „mrozem”: oto w zimowy wieczór siedzi w izbie koronkarka i patrzy w okno, słabo oświetlone przyćmionym blaskiem luncyza; powleki jej kwiatami siarczysty mroz i gwiazdki niebieskie piękne, stoją choinki w białych czapach, a pod nimi przykucnęły zajaczki w białych futerkach. A wszystko to jest arcybiałe — jak zaśnieżone pole.

Patrząc na wzór, dziewczęta wzdychały i zapadały w zadumę. A Nadia Kwaznina patrzyła w ciemne okna i zdawało się jej, że za nim stoi ten, na którego już wy-czekuje drugi rok, że oto stoi i patrzy na nią, by za chwilę zapukać i wejść po to, by zabrać ją na zawsze.

2.

Ale nie zastukał, nie zawołał, tylko po prostu pewnego dnia przyszedł wraz z innymi chłopcami, usiadł obok tego, co tak ładnie grał na harmonii, słuchał jej dźwięków i nie wiadomo dlaczego uśmiechał się. Przyjście młodego agronoma nie mogło, rzecz prosta, ująć uwadze dziewcząt. Szeptaly coś pomiędzy sobą, spoglądały na siebie znacząco,

a nawet dziadek Teodozjusz, siedząc już na piecu, zakaszlał gwałtownie i poprosił o kwas.

Było to istotnie zdarzenie niepowszednie. Agronom Paweł Krywienkow przyjechał do Zarodowa przed rokiem z górą, ale nikt jeszcze nie mógł poszczycić się jego przyjaźnią, czy choćby uważać się za jego bliźniego znajomego. Trudno było zorientować się, czy sam agronom u-nikał go jako człowieka obcego, z nietulejszym akcentem i studiami akademickimi. Był wybitnym specjalistą i z opinią jego liczyli się nawet starzy. Ale zawsze i wszędzie rozmawiał on z ludźmi tylko o sprawach gospodarczych, nie wdając się nigdy w gawędy prywatne. Czasem chodził do klubu, gdy przy-bywało tam kino objazdowe. Ale i wówczas siadał pomiędzy najpo-ważniejszymi gospodarzami, by rozmawiać z nimi, w czasie antraktów, znów tylko o gospodarstwie. Poza tym nikogo nie odwiedzał i do siebie nie prosił; mieszkał w małym pokoiku, połączonym z laboratorium, gdzie miał łóżko, stół i kupę książek.

Mimo to na początku panny na wydaniu bardzo się nim interesowały. Bo to i kawaler, i niegłupi, i niebrzydki. Anusia Mieszczariakowa spotkała go kiedyś w lesie i poprosiła, by ją odprowadził do wsi, gdyż rzekomo zabłądziła. Odprowadził ją bez słowa, a przy pierwszych chałupach wsi przeprosił, że jest zajęty i oddał ją tak pośpiesznie, że dziewczynina na całe życie zachowała w sercu urazę. Stopniowo zainteresowanie jego osobą słabło, aż wreszcie dziewczęta doszły do wniosku, że albo agronomowi woda sodowa uderzyła do głowy, albo ma w mięsie jakąś dziewczynę.

Tylko jedna Nadia wiedziała o nim coś więcej. Nie z tych krótkich i urzędowych słówek, które ona i Olga zamieniały z Pawłem, gdy ten wzywał ich inspektę, ale z rozmowy — jaką miała z nim na wiosnę tego roku, odkąd to właśnie nosi w sercu niejasną nadzieję szczęścia.

Spotkanie to Nadia pamięta w najdrobniejszych szczegółach i dziś rzucając na niego ukradkiem spojrzenia, przypomina je sobie na nowo. W niedzielę wracała ze stacji, z targu. Szła nie gościńcem, ale boczną drogą, pantofle miała w węzku, bosa noga miękko stąpała po chłodnej, nieskoszonej trawie, na której jeszcze srebrzyła się rosa. Naokoło nie było żywego ducha i dlatego Nadia już z dala posłyszała za sobą stuk kopyt. Obejrawszy się spostrzegła lekki powozik, żwawo skaczący z pagórka na pagórek i szybko doganiający ją. Gdy znalazł się tuż za nią, dziewczyna usunęła się z drogi i wtedy spostrzegła, że jedzie młody agronom. Ten również poznał ją, bo, zatrzymując konia, krzyknął:

— Proszę wsiąść, panno Nadia! Razem nie będzie się tak dłuży.

— Ja zaraz, w tej chwili — odpowiedziała pośpiesznie, zmieszana bardzo, że zobaczył ją na bosaka,

Ale Krywienkow wrócił zaraz, wręczył jej małeńki bukietek kwiatów, siadł znowu obok i wziął leżec.

— Czy może być na świecie coś piękniejszego od tych północnych fiołków — powiedział w zamyśleniu. — Proszę spojrzeć, jakie one są słabe, bezbronne, na cieniułkach, prawie przezroczystych łodyżkach. A przecie ile w nich sily życiowej, ile skromnego piękna. I rosną na uboicie... Na białym, gdzie nie mają żadnego zapachu ani lilie, ani mrozska, ani żurawiny. Skądże w nich ten cudowny zapach?

I nie czekając na odpowiedź, jakby zmieszany, spytał:

— Podobno pani i jej siostra są najlepszymi koronkarkami w całej wsi?

— W naszej wiosce wszystkie dziewczęta robią koronki — odpowiedziała Nadia.

— Proszę mi opowiedzieć, jak to się robi.

Nadia opowiedziała wszystko, co wiedziała sama i co słyszała od babki Praksesty; o tym, jak ich rzemiosło przekazywane jest z pokolenia w pokolenie i o tym, jak koronkarki z Zarodowa brały pierwsze nagrody i w Petersburgu, i w Paryżu, i na wszechzwiązkowej wystawie rolniczej. Jak powstają nowe wzory i co o tym wszystkim mówi instruktor Kapralow.

— Proszę wstąpić i zobaczyć na własne oczy — dodała.

Ale agronom nic nie odpowiedział na to zaproszenie, tylko wziął z ręki dziewczyny piatek kwiatka i przyglądając mu się, powiedział:

— A co, gdyby na koronki przenieść oto te małe, białe gwiazdki i rozsypać je jak po niebie na białym tle? To chyba byłoby bardzo ładne? Ale chyba i bardzo trudne.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo bryczka już wjechała do wioski. Tyle, że żegnając go powtórzyła zaproszenie:

— Niechże pan koniecznie wstąpi. My zawsze zbieramy się wieczorami.

— Dziękuję! Na pewno wstąpię — odpowiedział agronom i przesłał jej ręką pozdrowienie.

Odtąd Nadia czekała go co wieczór. Nie powiedziała o tym spotkaniu nikomu, nawet Oldze. Zadróżnie zachowywała w pamięci każde słowo wypowiedziane przez niego. A on wcale nie przychodził.

I spotykając się przy pracy w polu, nie wspominali ani jednym słówkiem o tamtym spotkaniu.

I oto wreszcie on jest w jej domu. Słucha harmonii, uśmiecha się i coś szepce na ucho swemu sąsiadowi. Klocki płażą się w rękach Nadii. Nawet nie zauważyła, jak nadszedł koniec pracy, jak głośno poderwały się z ław dziewczęta, a za ich przykładem wstali chłopcy. I jak podszedł do niej Krywienkow.

— Dziękuję młodym gospodyniom — powiedział patrząc to na Nadie to na Olę, i pani dziękując — dodał, zwracając się do babki Praksesty. A potem powiedział innym już tonem. — Czy mógłbym do pani zajść jutro w dzień, w bardzo ważnej sprawie?

szalało w przygotowywaniu zapasów paszy. Po wtóre ocielila się krowa - rekordzistka, Malinka, i wszyscy biegli zobaczyć wielkogłowego cielaka, niepewnie jeszcze trzymającego się na nogach. Po trzecie Anna Malaszka przykładała spręż pokrętywa swą córkę Paulinkę za to, że ta spacerowała z harmonistą aż do trzech kurów. Sąsiadki słyszały, jak Paulinka zawodziła: „Mamusiu, przecie ja już pracuję społecznie, a mamusia takie rzeczy...” — na co matka, nie przerywając egzekucji spokojnie odpowiedziała: „Ja twoją pracę społeczną bardzo szanuję, ale do skóry ci się doberam i będę nadal doberać.”

Paulinka przyszła na inspektę później niż inne i zaraz ze złością zabrała się do rozsady, nie zwracając żadnej uwagi na spojrzenia i śmiechki koleżanek. Tylko czarne kędziory na jej głowie drgały: nie wiadomo czy ze złości czy ze smiechu. Gdy inne dziewczęta usiadły do południowego posiłku, ona z wyniosłą miną jadła stojąc na uboczku, aż śmieška Anusia Mieszczariakowa nie wytrzymała i szepnęła:

— Ona, dziewczynki, będzie dzisiaj i koronki robiła na stojąco.

Paulinka usłyszała i odciała się: — Ale za to nie błądzą między trzema osobami, jak niektóre z was i nie proszę, żeby mnie do domu odprowadzano. Bo mnie i bez próby odprowadzają.

Dziewczęta, które doskonale pamiętały niefortunną przygodę Anusi z agronomem, wybuchnęły śmiechem. Tylko Nadia nic nie słyszała i nie widziała. Nie mogła dać sobie rady z sercem, które to zamierania, to nagle zaczynało bić jak szalone, aż podnosiła się i opadała bluzka.

A mimo to ona pierwsza spostrzegła, jak na ścieżce, prowadzącej ode wsi do inspektów, ukazała się babka Praksesta. Szła szybkim krokiem machając rękami i coś mamrocąc. Nadia poczuła, że jej członki odmawiają posłuszeństwa, lecz przemocą się wysiłkiem woli i wstała. Ale babka minęła ją, podbiegła do Olgi i nisko jej się skłoniła.

— Dziękuję córeczko — zaterkotała płaczącym głosem — uszanowałaś starą matkę, odwdzięczyłaś się jej za opiekę.

Olga też wstała i przyciskając dłoń do piersi spytała:

— Co się stało, mamusiu? — Patrzajcie ludzie — krzyknęła babka, zwracając się do dziewcząt. — Patrzajcie ludzie! Czy to słyszane rzeczy, żeby rodzona córka tak ukrywała przed matką? A ty przynajmniej wiedziałas, Nadiu? — zwróciła się do starszej córki. — Mów, wiedziałas?

— Nie wiem, o czym mówisz, mamusiu — odpowiedziała Nadia czując, że uginają się pod nią nogi.

— I starszej siostrze, okazuje się, ani słowa nie powiedziała — babka jeszcze raz zachlipała, a potem nagle zupełnie innym tonem dodała. Był ten twój agronom, a jakże... My z ojcem właśnie kartofle kopaliśmy, jak się zjawil. Przychodzi i od razu jak ubuchem: „Proszę uni-

wy rozgłaszać — i za to, powiada, prosimy się na nas nie gniewać. Ja, baje, — i w głosie babki zabrzmiał źle ukrywany triumf — i matce swojej już ja szczegółowo opisałem i zgodę otrzymałem”. „A czy Olga, pytam, zgadza się?”. „A jakże, śmieje się on, my przecie dawno już kochamy się”. A tu znowu mój dureń się wtraca: „Czego ty stara, mamrocze, kota za ogon ciągniesz? Ja na przykład z największą przyjemnością”.

— A ty, mamusiu, co mu ostatecznie powiedziałaś? — cicho, ledwie poruszając wargami, zapytała Olga.

Babka chciała i na nią warknąć, nawet już nogą tupnęła, ale widząc oczy córki, zakrzęsiła się, zakaszlała i złożyła usta w ciup. Olga przypadała do jej ramienia i obie rozbeczały się. Wówczas dziewczęta podbiegły do nich, pochwyliły Olę, zakrzęciły ją w tańcu, rozhałasowały się.

Podeszła powinszować i Nadia, bez słowa musnęła usta siostry suchymi, zapiekłymi wargami. I wszystkie znowu miały okazję przekonać się, jak bardzo podobne do siebie były obie siostry — z twarzy, z ubrań i z charakterów.

A kiedy babka Praksesta i Olga poszły do domu, a dziewczęta rozbiegły się po wsi, by roznieść sensacyjną nowinę, Nadia była daleko za wioską, na brzegu Suchoni. Odzyskała świadomość gdzie się znajduje dopiero gdy skoczył na nią jakiś pies. Starą się uświadomić sobie, co właściwie się stało. Nie czuła żalu do siostry, ani do niego — tylko wielką, zawstydającą litość nad samą sobą...

Zaślubiny odbyły się jesienią, po zbiorach. Zdażył przyjechać na nie instruktor Kapralow, który z tej okazji zapomniał nawet o kaczkach. Wesele odbywało się w nowym domu, gdzie miano osiedlić nowożeńców. Na życzenie babki Praksesty do mieszkania najpierw wyszono kota, ale z tego nic nie wyszło, bo okazało się, że w chałupie już chrapał dziadek Teodozjusz, który zdażył upić się przed weselem. Zarząd kolchozu podarował Krywienkowi motocykl, a Oldze piękną szkatułkę wykonaną w drzewie przez palechowskich rzemieślników. Komsomolcy przynieśli komplet dzieł Timiriaziewa, a harmonista — piosenkę własnej kompozycji, którą zaśpiewał pod akompaniament harmonii:

Ja mamusię opuściłam  
Z obowiązków żonki,  
Lecz po sobie zostawiłam  
Nici i koronki.

Było głośno i wesoło, kiedy do pokoju weszła Nadia. Na jej wyciągniętych rękach leżała delikatna, koronkowa narzutka. Podchodząc do młodych, skłoniła się.

— Przyjmijcie to ode mnie. I spojrzawszy na agronoma dodała — Czy pan pamięta naszą rozmowę na drodze do stacji?

Olga wzięła narzutkę, a jej mąż spojrzął na koronkę, potem na Nadie i nagle zmienił się na twarzy. Ale w tej chwili podbiegł Kapralow, pochwylił z rąk Olgi narzutkę, spojrzął na nią pod światło, potrząsnął nią, jakby nie wierzył własnym oczom i krzyknął:

— Która z was ma pierścionek? — Ja — odrzyknęła Paulinka. — Daj mi go na chwilę.

Zdażył z ręki dziewczyny srebrny pierścionek z turkusem, ostrożnie przytrzymał go dwoma palcami, przewlekił przez niego brzeg narzutki i przeciągnął ją całą. Lekko zmleściła się wewnątrz.

— Ależ przecie to arcydzieło — huknął. — Prawdziwy cud! Spójrzcie, proszę, przecie to są fiołki! Prawie że pachną. Co za spostrzegawczość, jaki wdunek! No, będzie pani w tym roku figurowała na wystawie.

Długo jeszcze szalał z zachwytem, dopóki nie spostrzegł utkwionych w sobie oczu Nadii.

— Odejdźmy na chwilę na stronę — szepnęła.

A gdy znaleźli się w odległym kącie pokoju, spytała go półgłosem: — Czy prawda, że w Wologdzie jest szkoła koronkarstwa? Skwapliwie potwierdził.

I że na jesieni będą do niej przyjmowali?

Potwierdził i to.

— No to niech pan mnie zabierze do tej szkoły.

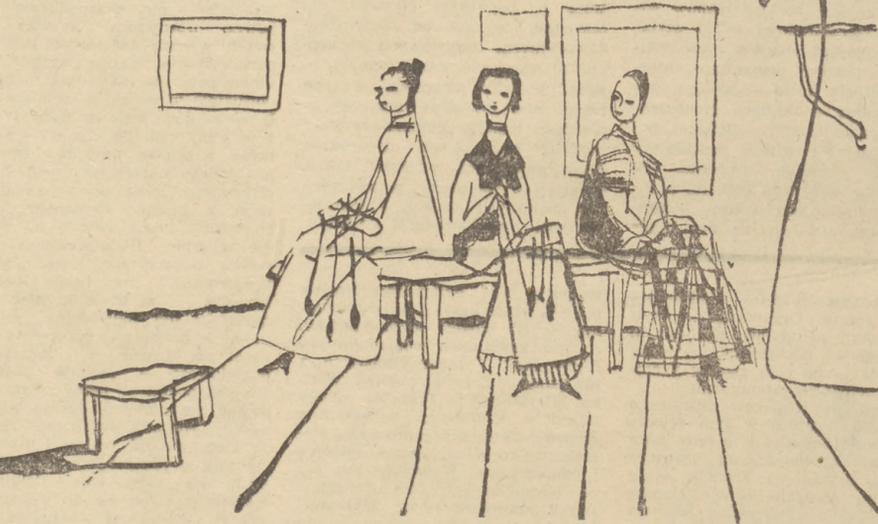
„Instruktor wyjechał nazajutrz rano, a z nim i Nadia. Odprowadzała ją cała rodzina. Babka Praksesta płałała, a dziadek Teodozjusz przestępował z nogi na nogę i wzdychał. Agronom nic nie powiedział, tylko mocno uścisnął rękę Nadii. Olga niesmiało pocłowała siostrę i nagle, mimo woli, wyrywało się jej:

— Przeczaj mi, siostrzyczko!... Konie poderwały się i szybko wybiegły poza wieś. Jechali znów boczną drogą. Wokół ciągnęły się gale, dymiące pola; gdzieś palono chrust. Pędzący konno drogą pastuszek pozdrawił ich ręką.

A oto i błotniste lasy, namiętne z ubiegłej wiosny. Teraz już nie ma tam fiołków, dawno poginęły. Jakie one były delikatne, bezbronne, na cieniułkach, prawie przezroczystych łodyżkach! A jednak ile w nich było sily życiowej, wytrwałości! Rozkwitną jeszcze wspanialej na przyszłą wiosnę.

— Pan jest mądry, bardzo mądry, panie instruktorze — myślała patrząc na drzemającego towarzysza. — Ale nie pojął pan najważniejszego: przecie to nie ja zrobiłam te cudne koronki. To moja wielka miłość je zrobiła...

Przekład Bohdana Gębarskiego



rys. Gabriel Rechowicz

że nazywa po imieniu i że oto tak niespodziewanie spotkali się we dwoje w lesie.

Potem siedzieli już obok siebie w wąskiej skrzyplącej bryczusce. Krywienkow powiedział, że jeździł na stację po przesyłkę od matki, że matka jest też agronomem i przysłała na jego życzenie nasiona pszenicy „kubanki”. Wyrażał się o matce z szacunkiem i wzruszeniem, a nawet pokazał jej fotografię, którą nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki. I wtedy Nadia ze zdziwieniem spostrzegła, że ten mruk-agronom ma, gdy się śmieje, tak samo jak matka, dziecinne dolki na policzkach.

Już tuż koło wsi, gdy mijali błotniste rzadki lasy, wiatr przyniósł w ich stronę zapach silny, a zarazem delikatny. Agronom znowu wstrzymał konia.

— Czy narwać pani fiołków? — i nie czekając na odpowiedź, zeszkodził na ziemię i znikł w krzakach głogu. Słyszała wyraźnie jak chlupią w błocie jego buty i pragnęła w głębi duszy, aby nie wracał jak najdłużej, aby mogła myśleć o nim, tak, aby on się tego nawet nie domyślał.

Wszystkich te słowa zaskoczyły. Cóż wspólnego mógł mieć agronom z babką. Zmieszana się i ona, ale przecie wykrztusiła: — „Proszę bardzo”. Olga wstała, by odprowadzić koleżankę, agronom też wyszedł, a Nadia długo jeszcze siedziała na ławce, z palającymi policzkami.

A gdy babka usnęła, Nadia poszła do swego pokoju, gdzie spała z siostrą i wydobyła z komody koronkową narzutkę. Na wlotkiem, przejrzysto białym tle szczerze rozsypane były małe białe gwiazdki. „Ile w nich skromnego piękna” — przypomniały jej się słowa Pawła. I długie bezsenne noce, kiedy w domu już wszyscy spali, a Olga bawiła jeszcze u koleżanek. Gdyby ona wiedziała! Gdyby wiedziała jak intensywnie żyje przez te wszystkie tygodnie i miesiące jej starsza siostra!

A więc być może już jutro!

3.

Ale nazajutrz zapowiedziana przez agronoma wizyta u koronkarek przestroniły inne wypadki. Po pierwsze z obwodu nadeszła gazeta, w której przewidywał się członkowie zarządu byli skrytykowani za opie-

że nie oddać mi waszą Olę za żonę!”

Wśród dziewcząt zrobiło się zamieszanie. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Olgi, ale ona stała wciąż jakby zneruchomiała, czerwona jak burak, z rękami przyciśniętymi do piersi.

— Stary mój dureń zupełnie rozkrochmalł się, mruczy coś od rzeczy: „Ja, powiada, nie mam przeciwko temu... Nie wiem tylko jak matka... Ja, mamrocze, ożwem z wielką przyjemnością. Dziękuję uniżenie”. No więc go odsunęłam i powiadam: „Dziękujemy za zaszczyt. Tylko tak, powiadam, u nas nie jest przyjęte. U nas najpierw się wydaje starszą córkę”.

— Mamusiu, co też mama takie rzeczy... — jęknęła Nadia.

— Milcz! To nie twoja rzecz! — krzyknęła babka. — Mówię mu to, a on szelma tylko się uśmiecha: „Ja, powiada, pannę Nadię bardzo szanuję, a kocham, mówię, Olę”. „Jakżeż pan ją możesz kochać, powiadam, jak jej wcale nie znasz”. „Dlaczego nie mam znać” — mówi, ja ją znam od roku i wszystko już jest między nami uzgodnione. Tylko do czasu, powiada, nie chcieliśmy sgra-

# O LITERACKICH MISTYFIKACJACH

PEWIEN podróżnik czeski, odbywając podróż po Afryce równikowej, natknął się na plemię tubylców w chwili, gdy w osadzie odbywała się jakaś uroczystość. Przyglądał się tańcom murzyńskich piękności i wsłuchiwał się w dźwięki afrykańskich tamtamów. Jego zaciekawienie rosło tym bardziej, im wyraźniej w muzyce i tańcach wydatnie się poczęły pierwiastki obce afrykańskiemu folklorowi. Zaciekawiony zjawiskiem, zapytał naczelnika, co uroczystość oznacza i co to za tańce, nie spotykane na czarnym lądzie. Ku niemałemu zdumieniu dowiedział się, że to tylko zwyczajna zabawa mieszkanców osady a muzyki i tańca nauczyli ich filmowcy amerykańscy, dokonując tam zdjęć filmowych z życia równikowych murzynów afrykańskich.

To opowiadanie podróżnika nasuwa mi na myśl szereg znanych mistyfikacji literackich. Zmyślona literatura, zmyślona historia świata, zmyślone kraje, języki, kultury, sprawozdania, w których autor, nie zdając sobie sprawy z tego, oddalał się od rzeczywistości — to wszystko począwszy od starożytności aż do naszych czasów, nie było niczym nowym. A co dopiero oszustwa literackie. Tych historia notuje bardzo wiele.

Niezliczone papyruse, palimpsesty, liczne listy, przemówienia, dzieła antyki są falsyfikatami. Ich autorami mieli być rzekomo Eurypides, Sofokles, Cicero, Petroniusz i inni wielcy Grecy i Rzymianie. Zawierają jednak tyle anachronizmów, że ostatecznie przedziej czy później ich autentyczność musiała być zakwestionowana tak samo jak autentyczność średniowiecznych kronik, bull, rękopisów, które często uważane były za źródła historyczne.

Charles Julius Bertram sfalszował całą rzymską historię Brytanii a to tak rzeczenie, że dzieło jego, powstałe około roku 1747, uważane było za autentyczne dzieło mnicha Ryszarda z Westminsteru, który żył w XIV albo w XV wieku. Annus z Viterba wślawił się tym, że wniósł najwięcej chaosu w badania historyczne. Szczytem fałszerstwa literackiego, do którego autorstwa musiał się przyznać, są słynne, w roku 1498 przez Eucharasza Silbera w Rzymie wydane „*Antiquitatum libri quinque cum commentariis Joannis Anni*”. Zawierają dzieła i rozprawy jedenastu różnych starożytnych pisarzy, które uważane były za zaginione, a znane były tylko z pewnych niedomówień i nazwisk innych autorów, dopóki oczywiście osławiony Annus z Viterba ich nie „odkrył”. Nagle osławione zostały najciemniejsze okrycia historii starożytnej. Nagle ujawniony zostaje taki materiał naukowy jak pradawna historia Italii i Etrurii, kolonizacja Italii przez tajemniczych Pelazgów, założenie Rzymu (wcale nie przez Romulusa ale przez Saturna), ujawniony zostaje spis siedmiu przedhomerskich Homerów, wszyscy bowiem nosili to samo nieśmiertelne imię; jest tam również pięć tomów babilońsko-chaldejskich historii, poznańskie niezliczone ilości mitologicznych postaci...

Długo nie było żadnych wątpliwości co do prawdziwości tego dzieła. Dopiero później, w XIX wieku Tiraboschi stawia kwestię jasno: falsyfikat.

W późniejszych czasach Annus z Viterba znalazł swych naśladowców. Fryderyk Wagenfeld usiłował w roku 1835 oszukać swych współczesnych i niemieckich uczonych dziełem, które, jak w kronikach współczesnych się zaznacza, „byłyby najwięcej historycznym odkryciem XIX wieku, gdyby nie chodziło o proste falsyfikaty”. Wagenfeld wydał wówczas podstawowe dzieło o najstarszych dziejach Fenicjan w formie znalezionego i za zaginiony uważanego rękopisu, w którym aż roilo się od niedorzeczności i fantazji. Nauka niemiecka padła ofiarą mistyfikacji, a znakomity orientalista G. L. Grotefeld, jeden z najślawniejszych uczonych swego czasu, nie zdołał rozpoznać fałszerstwa. Dopiero po kilku latach oszustwo zostało zdemaskowane.

Ta sama Francja, która ośmieszyła się pseudoarcheologicznymi odkryciami gloselskimi, dźwierz prymat w literacko-artystycznej mistyfikacji. Jedynie nazwisko — Vrain Denis Lucas — jest synonimem olbrzymiego skandalu, może jedynego w swym rodzaju.

Od roku 1867 słynny francuski matematyk i astronom Michel Chasles, członek licznych towarzystw naukowych francuskich i obcych, czynił mnóstwo zapisów, na mocy których różne instytucje naukowe francuskie otrzymywały cenne dary w formie rzadkich rękopisów, oryginalnych manuskryptów najślawniejszych francuskich i włoskich filozofów, uczonych, poetów i meżów stanu. Szkoła tylko, że wszystkie te „unikaty” były falsyfikatami, jak okazało się dopiero później.

Nie oznacza to, że Michel Chasles, ceniony i szanowany uczyony, był oszustem. Jego dostawcą tych białych kraków był właśnie Vrain Denis Lucas, który zasłużył sobie na tytuł księcia falsyfikatorów. W latach 1861-70 sprzedał on słynnemu matematykowi Chaslesowi ni mniej ni więcej jak tylko 27.472 fal-

syfikatów listów o treści historycznej i naukowej. Za to łajdactwo kazał sobie zapłacić 140.000 złotych franków. A jakie to dokumenty sprzedawał? Były wśród nich m. in. listy Alcibiadesa, Aleksandra Wielkiego, Arystotelesa, cesarza Augusta, listy Attyli, króla Hunów, Belizara, Caliguli, Galileusza, Karola Wielkiego, Kleopatry, Marka Aureliusza, Marii Magdaleny, Owidiusza, listy Apostoła Pawła, Piłata Ponckiego, listy Pitagorasa, Tyberiusza, Vercingetoriksa, Virgiliusza, Sokratesa i listy dalszych osobistości historycznych, ogółem 600 postaci, o których wspomina historia starożytna.

Zakrawa wprost na groteskę, że uczyony tej miary co Chasles przejawiał aż taki brak krytycyzmu. Jakkolwiek opinia publiczna od samego początku kwestionowała autentyczność dokumentów, jak to bywa w takich wypadkach, wiara w prawdziwość listów utrzymywała się przez długie lata. Jeszcze w roku 1869, gdy spór o prawdziwość czy nieprawdziwość materiałów Chaslesa doszedł do poważniejszych rozmiarów, francuska Akademia ogłosiła oświadczenie, będące sui generis urzędowym zweryfikowaniem dokumentów. W roku 1870 mistyfikator ostatecznie stanął przed trybunałem. Vrain Denis Lucas skazany został na dwa lata więzienia i 500 franków grzywny.

J. A. Farrer tak o nim pisał: „Trzeba przyznać, że w poczynaniach Vrain Denisa Lucasa było coś wspaniałego. Nie można pominąć jego pilności, zrozumienia, wleostrośności i zręczności. V. D. Lucas w ciągu tych 17 lat przeżytych w Paryżu, sporządził przeciętnie 4 fałszywe listy dziennie. W ciągu 8 lat tego okresu Chasles był jego najlepszym odbiorcą. Jeśli odbiorcami byli i inni, to dziennie fabrykował więcej niż 4 listy. Ciekawe jest, że arcyoszust ten, nie mający żadnego wykształcenia, nie znający łaciny i nie mający ani pojęcia o matematyce, nie tylko że przez całe lata potrafił bronić swych twierdzeń przed jednym z najznakomitszych towarzystw naukowych na świecie, ale nadto bliski był jego całkowitego opanowania.”

Jeśli natomiast chodzi o fałszywe opisy podróży, to rekordem poszczycić się może jeden człowiek, filozof, uczyony, który uważany być może za wzór pobożności i pokory a zarazem za geniusza naukowego oszustwa i który dotąd pod wielu względami pozostał zagadką. Jest to słynny „Formozanin” M. George Psalmanaazar.

Psalmanaazar był niewątpliwie bardzo wykształconym samoukiem, uniwersalnym uczyonym i geniuszem czytelnym. Jakże było jego rzeczywiście nazwisko, kim był, gdzie była jego ojczyzna, gdzie żyli jego rodzice — nikt się nie dowiedział. Mając lat 25 władął pięcioma językami, w późniejszych latach opanował jeszcze 12 języków. Dziennie pracował 14 godzin.

Urodził się rzekomo gdzieś we Francji południowej około roku 1689. Nauki pobierał u Franciszkanów, Dominikanów i Jezuitów, był nauczycielem domowym, później

bląkał się po całej Francji i Belgii, przez pewien czas występował jako rzekomo prześladowany Irlandczyk, który musiał opuścić swój kraj, aby nie zdradzić swej wiary, następnie był żołnierzem w Nadrenii.

Od tego czasu, datują się jego wystąpienia jako tajemniczego „Japończyka z Formozy”, który przyjął wiarę chrześcijańską. W wojskowych dokumentach osobistych pojawia się jego przybrane nazwisko Psalmanaazar. W luteranckim pułku księcia Meklemburskiego rozpoczęła się jego kariera. Wyżsi dowódcy zwrócili uwagę na wszechstronnie wykształconego żołnierza z Dalekiego Wschodu, który odprawia dziwne praktyki religijne. W niezrozumiałym dla nikogo języku odmawiał modlitwy. Przy wschodzie i zachodzie słońca rzucał się na ziemię, śpiewał niezrozumiałe hymny i modlił się z książki, napisanej nieznanym pismem. Wówczas to zrodziła się w nim myśl, która go nie porzuciła aż do końca życia.

Dowódca pułku wezwał go do siebie, zaprosił również wyższych oficerów i duchownych. W ich obecności tajemniczy młodzieniec opowiada o swej przeszłości. Pochodzi z Formozy, Jezuita uprowadził go i w ten sposób dostał się do Europy, gdzie wbrew swej woli zostaje ochrzczony. Wkrótce jednak udało mu się zbiec.

To był pierwszy występ przysiężnego wielkiego hochszaplera, literackiego mistyfikatora o niebywałym talencie, godnym lepszej sprawy. Co nie udało się Jezuitom, udało się działającemu w Belgii anglikańskiemu kapłanowi i kaznodziel polowemu. Psalmanaazar przyjął protestantyzm. Wkrótce po tym dostaje się do stolicy Anglii. Było to w roku 1703. Teraz pod całkowicie rozwiniętymi flagami dąży do „kariery naukowej”. Dostojnicy kościoła anglikańskiego, przedstawiciele nauki, dygnitarze państwów nie małe nie kłaniają się temu Azjaci, który „od strasliwego pogaństwa przeszedł do prawdy i obyczajów chrześcijańskich”. W kołach londyńskich zachwycają się jego uczonością tak samo jak i jego zwyczajami. Spożywał mięso surowe i jadł korzonki roślin. W tym czasie urzędza wykłady o języku, obyczajach, sztuce i religii swych rzekomych rodaków i podejmuje się tłumaczenia na język „formozański” katechizmu anglikańskiego. W ciągu zaledwie kilku tygodni katechizm przetłumaczony zostaje na język, jaki wcale nie istnieje. Skoro tylko z pracą tą był gotów, rzuca się z zapalem do pracy nad wielkim naukowym dziełem o swej dalekiej ojczyźnie. Ukazanie się dzieła oczekiwane jest z wielkim napięciem w angielskich kołach naukowych. Wreszcie w roku 1704 po łacinie ukazuje się ten mistrzowski kawał genialnego oszustwa: „*Historia i geografia Formozy, wyspy pod rządami Japonii*”.

Odważył mistyfikator szczegółowo opisywać góry, rzeki i doliny, w których nigdy nie był. Specjalny rozdział poświęcił faunie i florze Formozy, jako też życiu publicznemu.

Trzeba przyznać, że kulturalno-polityczny obraz kraju, podany

przez Psalmanaazara jest wspaniały. Wszystkie te barokowe i fantastyczne opisy obyczajów, uroczystości, dzieł sztuki zostały zachowane. Jeszcze fantastyczniejsze są ilustracje, dopełniające ten opis. Ogłądać można pałace królewskie, obrazy uroczystego składania ofiar, nie brak podobizny króla i królowej oraz największego ze złych duchów z drugą głową, wyrastającą z brzucha. Dowiaduje się czytelnik o pływających wsiach itp. Zainteresowanie wzbudzi i alfabet formozański, składający się z 20 znaków, podobnych do znaków alfabetu starogreckiego.

Psalmanaazar wie wszystko o Formozie. Znamy mu jest i lista cywilna króla. Ojciec nasz po formozańsku brzmi: *Amy pornio dan chin ornio viay*. Czcił ojca swego i matkę swoją powiemy po formozańsku: *aytomere pornio kai porniun soios*. *Jarhabadiand* nazywa się w tym języku Pismo święte Formozan itd.

Psalmanaazar potrafił, jak widać, opanować swój język doskonale. Jest też bez wątpienia jedynym człowiekiem na świecie, który język ten opanował. Słynny orientalista określił później sztuczny ten język jako oryginalny środek porozumiewawczy.

Ofiarą oszustwa stał się przede wszystkim ówczesny angielski świat naukowy i kościelny, a to właśnie w całej aferze jest najbardziej groteskowe. Pierwsze wydanie wielkiej księgi o Formozie zostało w lot rozchwytnane. Po ukazaniu się drugiego wydania ukazują się w Paryżu dalsze dwa wydania angielskie zanim książka zostaje przetłumaczona na język francuski, holenderski i niemiecki. Oczywiście, że zabierają głos i sceptycy. Jezuita Fontenay był przez 18 lat misjonarzem na Formozie i można było więc oczekiwać, że zna doskonale ten kraj, i że zajmie swoje stanowisko. Teraz nastąpiło to, co najbardziej charakteryzuje ówczesną sytuację. Odbywa się kilka wielkich dysput naukowych przed uczyonym kolegiom ale — co najbardziej zdumiewa — dysput tych Psalmanaazar wychodzi zawsze zwycięsko. Ojca Jezuitę nazwie kłamcą, ośmieszy go przed wszystkimi, a uczeni Londynu i Oxfordu — co trudno zrozumieć — stają po stronie Psalmanaazara.

Niebawem świat zdumiony jest nowym „naukowym” kawałem. Psalmanaazar napisze „Gramatykę języka formozańskiego”, mistrzowskie dzieło filologii, coś absolutnie doskonałego w tej dziedzinie, coś bezprzekładnego, albowiem chodzi o gramatykę języka, który nigdy nie istniał, ani nie istnieje...

Jednak nie na tym koniec. Jego fortuna kołem się toczy jeszcze przez pół wieku. Corocznie spod jego pióra wychodzą coraz to nowe wiadomości o Formozie. Całe góry kłamstw, wymysłów, a oprócz tego jeszcze dzieła, budzące podziw, godny rzetelnego uczonego. Rozprawę na temat Psalmond zdradzała doskonałą znajomości języka hebrajskiego o autora. Jako współpracownik wydawnictwa historycznego



rys. Barbara Jonscher

napisał sześć tomów historii Greków, Hiszpanów, Celtów, Scytów i Niemców. Spod jego pióra wychodzi też znakomita historia sztuki drukarskiej i jest też autorem „*Essajów o zwierzętach*”, czytanych jeszcze długo po jego śmierci.

Psalmanaazar właściwie nigdy nie był zdemaskowany. Jednak nigdy też nie umilkły głosy krytyki i sceptycyzmu. Dopiero w pół wieku po jego pierwszym wystąpieniu w Londynie, w roku 1752 dochodzi do tego, że sam się demaskuje, sam przyznaje się do olbrzymiego oszustwa. W dziele „*Complete system of geography*” wydanym w dwóch tomach w roku 1768, Psalmanaazar sam napisał rozdział o Chinach i Japonii, w którym mowa również o Formozie. W rozdziale tym zaznacza, iż zdawać by się mogło, że Formoza odznacza się oryginalnym pięknem, gdyby oczywiście książka o niej, napisana przez rzekomego Formozanina nie była tylko stekiem fałszu i wymysłów. Autor, który

żyje w Anglii — czytamy we wspomnianym dziele — już dawno przynależał do mistyfikacji a tylko względy natury osobistej powstrzymały go od publicznego oświadczenia w tej sprawie. Obecnie, osoby, które mogłyby być tego rodzaju oświadczeniem skompromitowane, już dawno nie żyją, wobec czego może zapewnić świateł, iż większość tego co napisał, jest tylko czymś wymyśłem. Następnie Psalmanaazar opisuje Formozę tak jak ona rzeczywiście wygląda a opis diametralnie różni się od tego wszystkiego, co o Formozie napisał przed 49 laty...

Psalmanaazar stał się śmieszna figurą na londyńskim bruku. Zmarł w roku 1783 — przed 170 laty. Jako oszust był oczywiście osobistością. Majątku nie dorobił się. Za pierwsze wydanie „*Formozy*” otrzymał: 10 gwinei, za drugie 12 gwinei, a jego „*Wspomnienia*” czytane są w Anglii do dnia dzisiejszego.

E. Wanke-Dąbrowski

## TADEUSZ SILNICKI

# TRADYCJE GODNE PRZYPOMNIENIA

KIEDY zwraca się myśl ku dziejom Śląska, tak politycznym, jak kulturalnym, bierze się za zwyczaj pod uwagę dwie narodowości i dwie kultury, które w tym kierunku działały: polską i niemiecką. Niekiedy dodaje się jeszcze wpływy czeskie, w średniowieczu wcale nie słabe, z powodu zaś bliższego sąsiedztwa — łatwo dostępne. Pomija się natomiast wpływy inne, idące z Francji i Belgii, które objawiły się przed niemieckimi, choć później zostały przez nie wyparte.

Wpływ romański był jednak istotny i zaznaczył się wyraźnie na niejednym polu. Wpływ ten widoczny jest przede wszystkim w dziedzinie kościelnej, że zaś Kościół był w wiekach średnich niemal jedynym piastunem i krzewicielem kultury, więc wpływy te z dalekiego Zachodu rodem dadzą się przeniesić w dziedzinie kulturalnej, co podwaja ich ważność.

Dwie znamy w dziejach epoki, kiedy kultura francuska, wzniosłszy się wysoko, oddziaływała na zewnątrz i wciąga w krąg swego promieniowania rozliczne państwa, narody, organizacje i jednostki. Epokami tymi są stulecia XII i XIII z jednej, wiek zaś XVIII z drugiej strony. Okres rozkwitu porządku średniowiecznego i okres wybijania prądu racjonalistycznego, tak odmienne, że aż sobie wprost przeciwne, osiągnęły na tej samej francuskiej ziemi swój wyraz najpełniejszy, a rozchodząc się po całej Europie dotarły też do Polski. Charakter epo-

ki rozstrzyga o rodzaju tych cywilizacyjnych prądów, które ona wytwarza. O ile zatem oddziaływanie Francji w XVIII w. zaznaczyło się na polu literatury i filozofii oraz idei postępu społecznego i politycznego — to tamte odległejsze czasy dostarczają materiału dla historii i organizacji Kościoła tudzież dla historii sztuki. Wpływy francuskie przenikały do Polski za pośrednictwem duchowieństwa tak świeckiego, jak zakonnego, przywożone książki bywały bądź treści liturgicznej, bądź też zbiorami prawa kanonicznego, a skutki można prześledzić w pewnych znamienitych podobieństwach organizacji kościelnej we Francji i u nas, w przeciwieństwie do innych cech, którymi odznaczał się Kościół niemiecki i wytworzony w nim typ organizacyjny.

Śląsk z doby XII i XIII w. nazywano słusznie „czołem polskiej cywilizacji”. Śląsk chłonny był pod względem cywilizacyjnym. Stanowił on jakby bramę, przez którą wkraczały do Polski obce prądy — tu się one filtrowały i dostosowywały do miejscowych warunków — i stąd rozlewały się dalej po Polsce. Na tej ziemi kresowej krzyżowały się wpływy i gromadziły się rozmaici ludzie. Galeria śląskich biskupów z jednej strony, a galeria książąt z drugiej dostarcza nader ciekawych przykładów dla typu współczesnej kultury. Obok biskupów stają niekiedy kanonicy i opaci z zakonów, obok książąt — możnowładcy, spośród których wyróżnia się i góruje nad

innymi postać Piotra Włostowicza, palatyna Bolesława Krzywoustego. Dzięki niemu Wrocław w pierwszej połowie XII w. stał się jednym z najważniejszych ognisk religijnych, artystycznych i kulturalnych w Polsce, jakby osobliwą kolonią tej kultury łacińskiej, romańskiej, francuskiej, która w ówczesnym świecie chrześcijańskim reprezentowała i hojnie dawała to, co najwyższe w treści i formie.

Z biskupów wrocławskich XII w., sądząc z ich imion, jest Heymo (1120—26) Lotaryńczykiem, a obaj Roberci I i II (1127—46) — Francuzami. Następca Roberta II — Jan II czyli Janik, Polak z rodu Gryfitów lubi naukę i ludzi uczonych, a w jego otoczeniu spotykamy duchownych francuskiego pochodzenia. Ale najwybitniejszym biskupem wrocławskim tej doby jest bez wątpienia Walter, rodem z Malonne nad Sambrą i belgijskiej diecezji Liège. Przybył on do Polski swym starszym bratem Aleksandrem, który został biskupem w Plocku. Nie są oni pierwsi i nie ostatni z leodyjskiej diecezji, która prawie od stu lat utrzymywała żywe stosunki z polskim Kościołem i sił mu dostarczała. Niejeden bowiem zakonnik lub kleryk święty przeszedł z Belgii do Polski w poszukiwaniu chleba, kariery, przysgod. Elementy najlepsze szukały pola pracy, zawsze wdzięcznej w kraju o niewykończonych organizacjach kościelnej. Znajdowali tam współrodaków, doznawali przychylnego przyjęcia, otwierali się przed nimi ty-

siączne możliwości. Biskup Walter (1149—1169) — to żywy łącznik Śląska z leodyjskim środowiskiem, z którym stały utrzymywał kontakt, a także ze środowiskiem lańskim, gdzie kwitnęła słynna podówczas szkoła. Walter był jako biskup bołojnickim idej celibatu, co w polskich stosunkach nie było ani łatwe, ani rychło do przeprowadzenia możliwe. Walter też wniósł w miejsce dawnej drewnianej nową monumentalną katedrę w romańskim stylu, podobnie jak jego brat Aleksander wybudował katedrę w Plocku i konsekrował ją w r. 1144, kiedy Walter był tam palatnem. Wreszcie słynna bulla protekcyjna papieska z r. 1155 — to owoc starania Waltera, a dla nas dziś — jedno z najważniejszych źródeł do dziejów diecezji.

Organizacyjnym śladem wpływów francuskich na Kościół polski są dwa urzędnicy, oryginalne dlatego, że w sąsiednich Niemczech niespotykane. Pierwszym jest postawienie na czele kapituły katedralnej nie prepozyta, lecz dziekana. Tak było we Wrocławiu, dopóki później za niemieckimi wzorami, prepozyt nie wysunął się na pierwsze miejsce; tak było zawsze w Krakowie. Drugim takim urzędnikiem jest stanowisko archidiałona, jako osobnego prepozyta w kapitule. Archidiałona zaś był głównym pomocnikiem biskupa w rządach i w sądzie. Kapituła wrocławska zaliczała też archidiałona do swych palatów.

Osobną dziedzinę tych związków i wpływów stanowi kult świętych,

czego wyrazem są ich imiona w wznieszeniach kościołów u ludności, w księgach rytuałowych, brewiarzach i kalendarzach. Oto parę imion z listami do Wszystkich Świętych, co prawda z początku XIV w. (jest to Rituale biskupa wrocławskiego, Henryka z Wierzbnia, ale zapewne przepisane z jakiegoś znacznie dawniejszego źródła): Dionizy, Remigiusz, Marcei, German i św. Flides — to typowi francuscy święci. A w kalendarzach diecezjalnych znajdujemy św. Genowefę, patronkę Paryża, Remigiusza z Reims, Germana i Lodegara z Auxerre, Speozypusa z Lungres, nie mówiąc już o powszechnie czczonym św. Marcynie z Tours. Liczne imiona tych świętych, ich charakter osobliwie francuski, częściowo zaś belgijsko-koloński, ich egzotyczność na terenie odległego Śląska, fakt, że w niejednym występują źródle i wreszcie, że nie oni tylko mówią na Śląsku o Francji — poczytywać musimy za ważną wskazówkę dla określenia, skąd w XII w. szły na Śląsk kościelne i kulturalne wpływy.

Pozostaje więc do dziś jeszcze prawdą zdanie znakomitego, choć wcale nie bezstronnego historyka śląskiego Grünhagena, że „promienie tego blasku, który wtedy otaczał świat romański docierały na daleki wschód i sprawiły, że Polacy poprzez Niemców podawali Francuzom rękę”. Tadeusz Silnicki

DZIS I JUTRO

# I co dalej?

ZACZEŁO się od nieśmiałego apelu, delikatnego zwroćcia uwagi na niezadawalający poziom naszej muzyki rozrywkowej i tanecznej.

Oto sprawa, dla której nie kwano się wcześniej nawet umaczać pióra, urosła do problemu. Dziesiątki autorów w dziesiątkach artykułów rozpoczęło batalię w imię tańca i piosenki. Precyzowano poglądy na istotne wartości lekkich form muzycznych, ich funkcję, i wypływające z tego korzyści. Wskazywano na powszechną niemal popularność będącą najlepszym obrazem oceny z jaką spotyka muzykę lekką ogół odbiorców. Apelowano, żądano, zwracano ostrze krytyki na kompozytorów stroniących od tego rodzaju twórczości i marnych wykonawców. Polemizowano z konserwatywnymi wyznawcami symfonii i kwartetu widzącymi w rozwoju form tanecznych i popularnych groźbę zaniku zainteresowania muzyką poważną.

W wyniku tej długotrwałej dyskusji twórczość muzyczna określona mianem „lekka” nabrała rumieńców sztuki o znacznej popularności. Dyskusja udowodniła bowiem, że słuchacz pragnie dobrej muzyki lekkiej, że piosenki, melodie taneczne czy operetkowe nierozdzielnie związane z naszym życiem odgrywają w nim niepoślednią rolę. Przyjmowane żywiołowo, nie przynoszą może przeżyć jakimi oddarzyć mogą kompozycje mocarzy miary Brahmsa czy Wagnera. Nie ma w nich głębi, niemal zadumy filozoficznej, programu. To prawda, żyją jak prostaczki wobec tamtych życiem mody, chwili. A jednak?... Jednak trudno byłoby się dziś obejść bez nich nawet tym, którzy w rozwoju lekkich form muzycznych widzą niebezpieczeństwo dla sztuki... Beethovena.

Udowodniwszy potrzebę istnienia utworów o mniej skomplikowanym języku muzycznym dyskutanci podnieśli głos w sprawie jakości tego rodzaju muzyki. Wypowiadając waleńkę rozpanoszonej szmirze kreślono odezwy do muzyków i literatów postulując o wartościowe melodie i czytelne teksty. Szukając przyczyn kryzysu przedstawiano recepty, które miałyby uzdrowić sytuację. Ukazały się wypowiedzi osób kompetentnych aż wreszcie głos w tej sprawie zabrał dyrektor orkiestry tanecznej Polskiego Radia Jan Cajmer.

W artykule: „Ruszyliśmy z martwego punktu” (zamieszczony w „Przebiegach Kulturalnym” z 28 lipca br.) oświadcza on, że „muzyka taneczna przeżywa kryzys wszędzie. I w krajach postępu i w krajach kapitalistycznych. Organizm muzyki tanecznej jest chory...” A trochę dalej: „dopóki nie będzie nowych tańców towarzyskich, związanych z tradycją i kulturą danego narodu, a nie oderwanych od nich, a więc kosmopolitycznych, tańców odpowiadających dynamice naszych czasów, tym samym dopóki nie będzie kultury tańca towarzyskiego — dotąd całe zagadnie-

nie będzie nierozwiązane i chore”.

W wypowiedź kierownika reprezentacyjnego zespołu tanecznego daleka jest od nowatorskich odkryć. Wskazując na fakt kryzysu, nie przekazuje środków jakimi można go przezwyciężyć. Mówiąc o potrzebie nowych tańców towarzyskich nie tłumaczy jakimi one powinny być. W rezultacie artykuł Jana Cajmera zagadnienie twórczości popularnej pozostawia w martwym punkcie.

Zdawało się, że poruszy je dopiero utworzona przy Związku Kompozytorów Polskich Komisja do Spraw Muzyki Lekkiej i Rozrywkowej. Przychylając się do żądania masy odbiorców, zgodnie z zapotrzebowaniem społecznym Komisja energicznie postanowiła wdrożyć niedomagania z jakimi boryka się muzyka lekka. Wyszunęło się szereg postulatów i konkretnych założeń. Mówiło się o seminarium podnoszącym poziom kompozytorów, jednolitych komisjach kwalifikujących i oceniających twórców, powołaniu orkiestr rozrywkowych przy teatrach i filharmoniach. Widziało się konieczne zorganizowanie zjazdu muzyków pracujących w zakładach gastronomicznych, ustalenie postulatów artystycznych jakimi kierować się należy przy ocenie utworów rozrywkowych, opracowywanie tekstów zlecenie wyłącznie literatom. Postawiono zadania wskazując, że w dziedzinie muzyki lekkiej wkraczamy wreszcie na właściwą drogę.

Tymczasem minęły miesiące. Hasła wokół tanga i serenady straciły na nasileniu. Temat przestał być atrakcyjny dla dziennikarza i czytelnika. Stracił też widać na atrakcyjności dla Komisji do Spraw Muzyki Lekkiej i Rozrywkowej. Słowa Komisji, jej postulaty i zamierzenia nie wyszły bowiem dotąd poza szufladę biurka, nie znalazły odbicia w życiu. Tak jak i dawniej twórczość popularna jest domeną niewykwalifikowanych kompozytorów, rynek muzyczny zabagniony tandetą psującą smak odbiorcy. Tak jak i dawniej słuchacz zmuszony jest, z braku innych, słuchać niewyższkolonych orkiestr, i kłopskich zespołów tanecznych. Nie ma ani seminarium, ani komisji, ani zjazdów, nie zrobiono nic w realizacji ambitnych planów i zadań. Więc po co było to wszystko?... Te artykuły w prasie, dyskusje, ruch, te obudzone nadzieje, po co zebrania, postanowienia. Kilka miesięcy, które minęły od czasu powołania Komisji powinny przynieść już jakieś wyniki jej pracy, nawet jeśli przypadła na okres kanikuly, urlopów i lata. Jeszcze trochę takiej działalności Komisji, a zagadnienie muzyki lekkiej i rozrywkowej zostanie rzeczywiście rozwiązane.

Wtedy, gdzieś tam może za rok nieśmiały apel zwróci uwagę na rumbę, tango i piosenkę. Apel rozpęta dyskusję, spory, polemiki. Utworzy się komisja i sprawa zacznie się od początku.

Czesław Lewandowski

TAK się składa, że w okresie kłędny wśród radzieckich twórców filmowych najwięcej się mówi o nawiązaniu do tradycji klasyki lat 30-tych — mija 20-ta rocznica premiery „Czapajewa”. Film ten uznany został powszechnie jako najdojrzalsze dzieło realizmu socjalistycznego. Nie oznacza to bynajmniej, że w latach filmu dźwiękowego poprzedzającego premierę „Czapajewa” nie ukazały się dzieła wybitne. Przecież „Entuzjazm” Wiertowa, „Wioska na Altaju” Kozincewa i Trauberga, „Bezdomni” Ekka, „Turbina 50.000” Ermlera i Jutkiewicza, „Dezerterski” Pudowlina — to filmy, które szerokim echem odbiły się w twórczości filmowej i przyniosły radzieckiej kinematografii nowe laury na arenie międzynarodowej. Ale w żadnym z nich, mimo wzbogacenia techniki, nie stworzono tak pełnego bohatera filmowego nowych czasów jak to miało miejsce w „Czapajewie”.

Film pokazuje jak Czapajew, urodzony dowódca wojskowy, człowiek, który wyrósł z ludu i dla interesów ludu wszystkim jest gotów poświęcić, pod wpływem komisarza politycznego i przez przewyciężenie własnych anarchicznych skłonności, staje się wzorowym oficerem. Nie ma nic w „Czapajewie” sztucznego i nienaturalnego, żadnych programowych nawróceń i frazesowej deklaracji, żadnych skłonności do dekoracyjności i upiększania fabuły, by podciągnąć ją do rzędu legendy pełnej ornamentów. Reżyserie cechuje prostota, oszczędność środków wyrazowych, niechęć do jakiegokolwiek przesady. Realizatorzy dali w swym filmie obraz radzieckiego środowiska rewolucyjnego z jego wszystkimi narodowymi cechami. Opowieść ta mimo swej skromnej i powściągliwej formy filmowej, działała na publiczność ludzkim entuzjazmem i humanizmem, jak ongiś w latach niemych epopeje rewolucyjne z „Pancernikiem Potiomkinem” na czele.

Obecnie realizatorzy filmowi po szeregu niepowodzeń twórczych ostatnich lat, wynikających przede wszystkim z osławionej teorii bezkonfliktowości, nawiązują do tego właśnie okresu twórczego, jak najślusniej uznano go za klasyczny, i stąd z okazji VII Festiwalu ta mała retrospekcja w przeszłość...

W dziedzinie filmów poświęconych — podobnie jak „Czapajew” — tematyce rewolucyjnej jest tak długi szereg tytułów, że nie sposób je wszystkie wymienić, stąd ograniczamy się tylko do wybitnych, rokrocznie koronujących osiągnięć. I tak w rok po premierze „Czapajewa” wchodzi tryumfalnie na ekrany „Młodość Maksyma”. Film reżyserowany przez Kozincewa i Trauberga ukazuje drogę młodego robotnika, który w 1910 roku wstępuje do partii, a podczas wojny domowej zostaje — już jako doświadczony i wypróbowany działacz — ministrem. Maksym grany przez Borysa Czirkowa stał się niesłychanie popularną postacią bohatera filmowego i tak jak wielu bohaterów książkowych urósł do roli symbolu wyobrażającego pewien typ ludzki.

W roku 1936 powstaje film Efilma Dżigana „My z Kronsztadtu” — epizod z wojny domowej opowiadający o bohaterstwie walce grupy marynarzy bałtyckiej floty. Na dwudziestą rocznicę Rewolucji, Zarchii i Chejfic realizują „Delegata floty” ze wspaniałym M. Czernakowem w roli tytułowej. W tym roku powstaje także film M. Romma o Leninie „Lenin w październiku” a dwa lata później tenże reżyser kreśli „Lenin w 1918 r.”. Tematem obu tych filmów było nie tylko odtworzenie działalności Lenina w pierwszych dniach rewolucji, ale również i pogłębienie a jednocześnie wytłumaczenie więzi, jaka wytwarza się między przywódcą a ludem. Ale sukces swój

filmy te zawdzięczają nie tylko niegananej reżyserii — przede wszystkim to zasługa wspaniałego, zmarłego już aktora Borysa Szczukina, który stworzył niezapomnianą sylwetkę wodza rewolucji, naśladując nie tylko jego sposób zachowania się, grę fizjonomii, ale i złądną wprost wierność mównicy.

Rok 1938 przynosi „Człowieka z karabinem” Jutkiewicza i „Wielką łunę” Czajurello, który filmem tym rozpocznie cykl poświęcony osobie Stalina. W następnym roku powstaje trzecia część trylogii o Maksymie pt. „Maksym”, wspomniany już „Lenin w 1918 r.” i „Szczerz” — film ukraińskiego reżysera Dowżenki o epizodzie z walk rewolucyjnych ludu ukraińskiego. W przededniu wojny powstaje zaś „Ziemia woła” z Wierą Marecką i „Bojownik wolności” Jutkiewicza o Jakubie Swierdłowie.

uznanie. Nie było w nim żadnego fałszu, czy nieporozumień wynikających z niezajomości tematu. Zaległa filmu była doskonale przeprowadzona akcja, misternie zawiązana intryga i dobra gra aktorów. Na uwagę zasługuje pokazanie jaką rolę odgrywa działacz partyjny w życiu społecznym, i jaka na nim ciąży odpowiedzialność i ile zależy od umiejętności jego postępowania z ludźmi. Tematyka kolchozowa zajmuje się również w formie komediowej reżyser Iwan Pyriew dając filmy „Bogata narzeczona” (1938), „Traktorzyści” (1939), „Swinarka i pastuch” (1941 r.).

Robotnikom fabrycznym i zagadnieniu przodownictwa pracy kinematografia radziecka poświęciła również wiele filmów. Wymienić przykładowo tu można „Górników” Jutkiewicza (1937) i serię „Wielkiego świata” I. Pudowlina. Dużo też

nie ma swoją wagę i znaczenie. „Wielki Obywatel” jest jednym z najlepszych filmów w produkcji tych lat.

Bezpośrednio przed wybuchem wojny w tematyce filmowej znalazły oddźwięk zagadnienia walki z rasizmem i faszyzmem. Echa te znajdujemy w „Cyрку” Aleksandrowa (1936 r.). O prześladowaniach żydów mówią filmy „Profesor Mamlock” (1938) Rappaporta i „Oppenheimowie” Roszala (1939).

Realizatorzy radzieccy sięgnęli również do dzieł literatury pięknej z których szereg uległ ekranizacji. Sukces odniósł właśnie M. Doński w trylogii zrealizowanej wg M. Gorkiego: „Dzieciństwo”, „Wśród ludzi”, „Moje uniwersytety” (1938—40). Z dzieł Gorkiego adaptował na film reżyser Roszal również „Rodzinę Artamonowych” (1941). Podobnie „Piotr I” był ekranizacją znanego utworu A. Tolstoja.

W latach tych podstawową metodą twórczą stał się realizm socjalistyczny. Twórczość w latach od „Czapajewa”, w przeciwieństwie do poprzednich, cechowała nie tylko przewaga, ale i wyłączność tej metody. Wielu wybitnych realizatorów przewyciężyło tendencje formalistyczne, które cechowały ich utwory z okresu poprzedniego.

Realizm socjalistyczny stawiając twórcy nakaz przedstawienia jaśniejszego obrazu życia wymagał ujęcia tematyki w formę odpowiadającą treści. Okres, w którym tak wspaniale rozwinął się film dźwiękowy odznacza się wykształceniem całego szeregu odrębnych rodzajów filmowych. Niektóre z nich — to rozwinięcie i udoskonalenie istniejących już w czasach niemych, inne są tworem nowym, zrodzonym dopiero po wprowadzeniu do arsenału środków ekspresji artystycznej słowa ludzkiego czy muzyki. Rodzajem nowym zupełnie, który prędko zdobył sobie obywatelstwo jest powieść filmowa, powstała na skutek przejęcia przez realizatora filmowego pewnych cech i znamion utworu literackiego. Rodzaj ten występuje zazwyczaj w filmach, obejmujących swą akcją dłuższy okres czasu i większą ilość osób. Nie obowiązują wtedy tak sztywne pewne reguły konstrukcji dramatycznej i narracja ma formy swobodniejsze, zbliżone do toku opowiadania czy powieści. Autor może pozwalać sobie na opisowe nawiąsy, na refleksje osobiste, snuć i odnajdywać bohaterów byleby tylko linia zasadnicza utworu na tym nie ucierpiała. Powieściową konstrukcją odznaczają się spośród filmów radzieckich omawianego okresu przede wszystkim dwie trylogie o „Maksymie” i o „Gorkim”, Ponadto powieściową formę mają obydwie serie „Piotra I” a także w pewnym stopniu „Wielki Obywatel”.

W pewnym sensie antytezą powieści filmowej jest dramat filmowy — utworz odznaczający się jednolitością fabuły i przeważnie ograniczony do pełnego wygrania i pogłębienia jednego określonego wydarzenia o dużym wewnętrznym ładunku dramatologicznym. Dramat radziecki posiada przekonywającą siłę prostoty i dlatego tak głęboko przenika do serc ludzkich. Przykładem klasycznym tego rodzaju będzie „Delegat floty” i „Chłopi” Ermlera. Podobnie, jak „Pancernik Potiomkin” w okresie niemych utworzył serię utworów epickich o tematyce rewolucyjnej, tak „Czapajew”, „Szczerz” i „My z Kronsztadtu” są jego dźwiękową pogłębioną kontynuacją.

Andrzej Odolański



Scena z filmu „Młodość Maksyma” (1935). W roli tytułowej — Boris Czirkow.

Jest wprost coś zdumiewającego, że w ciągu kilku lat powstaje tak wiele wybitnych filmów i każdy z nich posiada indywidualne oblicze, mimo, że dotyczą z pozoru jednego zagadnienia.

Filmy z historii Rosji nie były tak bogato reprezentowane ilościowo jak te o rewolucji. Pierwszym tryumfem na tym polu był „Piotr I”, którego premiera odbyła się w 1937 roku. Rok następny przynosi zaś arcydzieło filmu historycznego — „Aleksandra Newskiego” Sergiusza Eisensteina. Mistrz niemego filmu staje się znów niezrównanym twórcą, który wznosi się na wyżyny dźwiękowego filmu. Drugi mistrz niemego okresu — Pudowlin reżyseruje dwa filmy historyczne: „Minin i Pożarski” (1939) i „Suworow” (1941). Jeżeli pierwsza pozycja była utworem słabym, to druga przyniosła mu pełną rehabilitację artystyczną.

To niezwykle bogactwo tematyki historycznej bynajmniej nie uszczuplało „współczesności”. Z filmów poświęconych zagadnieniom wsi na czoło wysuwają się „Chłopi” Ermlera (1935). Jest to jeden z obrazów wsi, które zdobyły sobie szerokie

dział twórczości filmowej stanowi tematyka młodzieżowa. W 1936 r. Gierasimow zrealizował film pt. „Siedmiu śmiałych” o ekspedycji geologicznej stacjonującej w arcytycznych rejonach. Pudowlin uważał ten film Gierasimowa za rewelację jeśli chodzi o dialog, taki był zwięzły, pozbawiony pretensjonalności i pełen prostoty. Następny film tegoż reżysera „Młodość młodzieży” (1938 r.) opowiada o budowie miasta przez młodzież na Syberii, zaś nauczyciel z następnego roku, to obraz przeżyć młodego, pełnego zapалу pedagoga, który w obcym i niechętnym środowisku stara się zdobyć i zdobywa zaufanie uczniów.

W latach 1937—39 ukazuje się dwuseryjny film Ermlera „Wielki Obywatel”, poświęcony analizie działalności przywódcy partyjnego. Dla wyrażenia dramatu i konfliktów ludzkich rozgrywających się przeważnie na płaszczyźnie starć psychologicznych, reżyser zastosował specjalną technikę zdjęciową operującą długimi ujęciami. Jest to film w zasadzie „mówiony”, ale z drugiej strony nie ma w sobie nic z gadatliwości, wszystko bowiem co się wypowiada na ekr-

# URSUS ROZŚPIEWANY

ROZSZUMIAŁA się scena, rozfurkotała spódnicami, warkocząmi. Roztętniła ariazkimi przytupem. Rozdzwijała młodymi głosami. Zawitowało patrzył w oczach, aż się usta same pootwierały z podziwu. Nabita do ostatniego miejsca sala wstrzymała oddech... Z estrady poniosła się teraz wesoła piosenka ziemi kobieleckiej. Przeniesiona z pół i lasów pod dach fabryki warczącej motarami tysięcy ciągników — cieszyła serca niepohamowaną szczerocą swojego wesela. rzeźwym oddechem wsi.

Gdy tańczący zespół zastąpił wreszcie w barwną plamę końcowego obrazu — sala długo nie mogła się uspokoić. Tysiąc pięćset par rąk biło zawięcie, entuzjastycznie brawo. Swoim klaskali, własnym kolegom — towarzyszącemu od maszyn, których umorusane dionie ścisnęli jeszcze dziś rano w hali produkcyjnej „Ursusa”, a którzy teraz stali wysoko, na estradzie, owiani całym urokiem tamtej strony rampy

W jaki sposób stare piosenki i tańce ziemi kobieleckiej zawiodły do rozdygotanego szumem maszyn podwarszawskiego „Ursusa”? To bardzo ładna i pouczająca historia. Zeby tak inne fabryki wzięły z niej przykład... Nie wiem dokładnie, komu to przyszło do głowy, doś, że Zespół Piosni, Muzyki i Tańca z „Ursusa” postanowił oprzeć swój repertuar na folklorze ziemi kobieleckiej. Zabrano się do tego solidnie: co lepsi i aktywniejsi członkowie Zespołu wraz z kierownikiem i dyrygentem — Tadeuszem Krystyniakiem — wyjeżdżają od czasu do czasu w teren i przeprowadzają tam gruntowne studia. Starszy ludzie wiejscy chętnie przypominają sobie młode swoje lata śpiewając na pół zapomniane stare piosenki, wyciągając z wyprawowych skrzyń nieużywane już dziś regionalne stroje i pokazując dawne tańce.

Ludzie z „Ursusa” patrzą, słuchają i uczą się. Uczą się szybko, głęboko zainteresowani i oczarowani odkrywającym się przed nimi pięknem ludowej twórczości. Osiemdziesiąt procent repertuaru Zespołu stanowią tańce i piosenki ziemi kol-

bielskiej, wykonywane w regionalnych strojach, odtworzonych według autentycznych wzorów, a zakupionych z fundusów zakładowych.

Ale to tylko jedna strona działalności dziełnego, osiemdziesięciosobowego Zespołu Piosni, Muzyki i Tańca.

Od pewnego czasu trzy gminy podwarszawskie zaczęły przejawiać żywe zainteresowanie dla spraw kulturalnych. Powstało wiele nowych świetlic, a w nich amatorskich zespołów artystycznych, otwarto biblioteczki, które z miejsca zdobyły wysoką frekwencję. Okazuje się, że i to jest zasługą robotników „Ursusa”, którzy wzięli pod czynną opiekę gromady tych trzech podwarszawskich gmin, pomagając im, posyłając swoich instruktorów, pozostając z nimi w ścisłym kontakcie.

Wiele się u nas mówi o dwóch bardzo ważnych zagadnieniach: o upowszechnianiu kultury i o pogłębieniu przyjaźni między miastem a wsią. Wiele się też dla tych spraw robi za pośrednictwem specjalnie powołanych instytucji i przez wydawanie zarządzeń dla świetlic

przykładowych. Wiąże jednak jeszcze brak tu jest samodzielnej inicjatywy poszczególnych zakładów pracy.

W większości fabryk jakie zdążyło się tu zwiędzać działalność świetlic ograniczała się do organizowania okolicznościowych akademii, masówek i do stworzenia robotnikom przyjemnej atmosfery posłuchania radia, czy pogrania w szachy. Tam, gdzie kierownictwo kulturalne bardziej było rzutkie — powstawały zespoły amatorskie, które skromnie ograniczały się do występów na własnym podwórku czy u sąsiadów. Tak pojęte upowszechnianie kultury spełnia oczywiście również swoje zadanie, jednakże w bardzo wąskim zakresie.

Na przykładzie „Ursusa” widzi się dopiero do jakich wyników może doprowadzić przemysłowa i konsekwentnie przeprowadzona akcja kulturalno-oświatowa.

Najważniejszym momentem wydaje mi się tu wzbudzenie zainteresowania młodzieży dla folkloru i danie jej do ręki inicjatyw w organizowaniu świetlic wiejskich. Takie ustawienie sprawy zmusza siłą rzeczy do popracowania nad własnymi wynikami, do podciągnięcia własnych wiadomości i umiejętności, oraz pobudza zdrową ambicję jak najlepszemu przeprowadzeniu powierzonych zadań. Przez ścisłą współpracę z wsią i wymianę (w dosłownym znaczeniu) dóbr kulturalnych — przyjaźń robotnika

z chłopem zyskuje jeszcze jeden piękny i mocny akcent. A poza tym akcja taka nie bez znaczenia jest też dla zachowania ludowych tradycji obyczajowo-kulturalnych i przyczynia się do szybszego i gruntowniejszego utrwalenia zanikających po wsiach dawnych strojów, piosenki i tańców.

Oczywiście, „Ursus” jako fabryka duża i znana z aktywności swoich robotników ma przewagę nad innymi fabrykami, które mają może skromniejsze możliwości atakowania terenu i promieniowania. Sądzę jednak, że odpowiednio podjęcie kierownictwa, zainteresowanie (szczególnie młodzieży) sprawami czynnego szerzenia kultury — może dać wszędzie, w całym kraju, piękne wyniki...

—Ale my tak tylko o tym jednym Zespole, a przecież tu u nas jest jeszcze i teatralny i filmowy... — zafasował się nagle Leon Pawłowicz, przewodniczący komisji kulturalno-oświatowej przy radzie zakładowej.

— Zaraz, zaraz, czy to nie wasza fabryka wystawiała „Damy i Huzary” w Teatrze Polskim? Oczywiście. Ten „Ursus” ma tak zdolnych ludzi, że Teatr Polski udzielił im swoich uswieconych tradycji desek na otwarte przedstawienie. Już nie mówiąc o tym, że zespół „Ursusa” stale jeździ na gościnne występy do różnych zakładów pracy w Warszawie i okolicach.

— Ale niestety — w tej chwili nie ma tu nikogo z artystów. W nagrodę za ofiarną pracę społeczną i osiągnięcia artystyczne — teatr, balet, chór i orkiestra wyjechały na wycieczkę do Szklarskiej Poręby. Można więc o teatrze powiedzieć tylko tyle, że pracuje w nim dwadzieścia pięć osób, a jego kierowniczką, a zarazem reżyserką jest Izabela Krzemienińska, osoba o niespożytej energii i dużej wiedzy. O ambicjach Zespołu świadczy między innymi fakt, że na miesiąc pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej przygotował sztukę radziecką w języku rosyjskim.

— Czy mi się zdawało, czy wspominał pan coś o zespole filmowym. Przysłałaś mi zapewne bo skadby w fabryce ciągników filmowcy...

— A jednak! — w głosie Pawłowicza pojawia się nutka triumfu i dumy — Mamy prawdziwy zespół filmowy...

Rzeczywiście, mają. Jest to właściwie rodzaj kursów, kształcących montażystów, scenarzystów, operatorów i reżyserów. Uczęszcza na nie około siedemdziesięciu słuchaczy. Plan nauczania obejmuje wszystkie przedmioty potrzebne filmowcom z prawdziwego zdarzenia. A plany produkcyjne tej niezwykłej na terenie fabryki ekipy będą zainteresowanie całej załogi. Oto, gdy pierwsze kadry filmowców dojrzeją — powstanie własny film

STEFAN LICHANŃSKI

# „Trzeba z tego czasu być“

DYSKUSJA nad zagadnieniem upodobań czytelniczych jako kryterium wartości dzieła literackiego zawiadła, gdyż nie skoncentrowała się wokół sprawy centralnej, ale zesłała na kwestie zupełnie uboczne i drugorzędne. „Straszny krzyk się zrobił w domu“ — jak mówi poeta, ale niestety „każdy krzychał o czym innym jak zwykle w życiu rodzinnym“. Istotne dla meritum sprawy wypowiedzi znajdujemy tylko u autorki „Królow“, Aliny Świdorskiej i w replice p. Ezupowiczowej. I w tych obu jednak wypadkach na plan pierwszy wysunęła się sprawa Sienkiewicza, a zagadnienie najważniejsze zostało potraktowane tak, jakby było tylko pretekstem do rozważań nad zagadnieniem dorobku pisarskiego autora „Rodziny Połanieckich“. W rezultacie staje wobec konieczności albo szczegółowego wyjaśnienia wszystkich nieporozumień, z którymi spotykam się w wypowiedziach moich oponentów, albo też sformułowania raz jeszcze swojego stanowiska, ażeby w ten sposób uniknąć wikłania się w szczegóły i uwydatnić to, co jest ważne dla meritum sprawy. Wybieram oczywiście drugą z tych możliwości. Tak pomyślana odpowiedź zawiera w sobie pośrodkową replikę nie tylko na ogłoszone w „Dziś i Jutro“ artykuły dyskusyjne, ale również na ciekawy list p. Stanisława Michalika, nadesłany do redakcji, niestety, już po zamknięciu poprzedniego numeru.

Zechcą mi czytelnicy wybaczyć, że zanim przystąpię do omawiania spraw poważnych, poświęcę parę słów wystąpieniu p. Ostaszewskiego. Wypowiedź jego zasługuje na uwagę historyków jako zawierająca dużo cennych materiałów do życiorysu autora. Pan Ostaszewski mówi w niej sporo o sobie, informuje więc czytelników, że posiada słownik wyrazów obcych, że ukończył wyższe studia, że jest amatorem romansowych przygód, że podróżuje po świecie i że nawet przegodne wagonowe filitki zwykł krasić dyskusjami na tematy wyższe, kulturalne („On jej szeptał coś do uszek, intelektem praży z bliska“). Otóż ów wytworny p. Ostaszewski przeżył wielką przykrość, ponieważ w takiej właśnie intelektualnej rozmowie zagadnięty o pewne zdanie z jakiegoś mego artykułu nie potrafił wywiązać się należycie z narzuconej mu przez urzędniczą towarzyszkę podróży („uśmiechnęte piwne oczy i niesiorna kasztanowata czupryna“) roli egzegety. Z tego powodu ma do mnie wielką pretensję. Rozumiem go i bardzo mu współczuję. Rozumiem nawet i to, że młodzieńkiem (po stylu felietonu i orientacji autora w rzeczach literatury sądząc) adeptowi literaturoznawstwa chodziło nie tylko o zakłócenie prawidłowego biegu „romansowej przygody“ (Hony soit qui mal y pense!), ale i o tę przykrość, jaką przeżywa każdy, kto uświadamia sobie, że istnieją na świecie rzeczy przekraczające jego zdolność pojmowania. Odczuwa on wtedy zakłopotanie, „kiedy zaś jest się wiele zakłopotanym“ — powiada E. A. Poe w noweli „Nie zakładaj się, nigdy z diabłem o swą głowę“ — to należy zmarszczyć brwi i zasepić twarz, gdyż inaczej będzie się na pewno wyglądało jak idiota“. Skoro jednak zmarszczyłeś brwi i zasepił twarz, czyli przyjmiesz się wygląd człowieka zrytowanego, łatwo już o wywołanie w sobie stanu rzeczywistej irytacji, a irytacja wymaga wyładowania się i rozładowania. Tak to

rekonstruuje sobie duchowy dramat p. Ostaszewskiego, zakończony napisaniem „miążdżącego“ felietonu. No, niech mu tam pójdzie na zdrowie! Zarobił sobie jegomość parę groszy, a prócz tego będzie jeszcze ośniewał po warszawskich kawiarniach kasztanowatość dzieła swym autorskim prestiżem. Tamtą okazję mu uprawdliwie zepsuł, ale jako bohater jego dzieła literackiego będę mu pomocny w dziedzinie innych. Może więc nie będzie się już gniewał?

PRZEJDŹMY jednak do spraw serio i weźmy na warsztat owo sławetne upodobanie. Chodziło mi i chodzi nadal o to, że nie jest ono faktem pierwotnym, „bezpomożonym danym“, ale zostaje wyznaczone przez obiektywne czynniki psychosocjalne. O podobaniu się lub niepodobaniu dzieła decyduje konfrontacja dwu wizji świata, dwu postaw życiowych, dwu systemów wartości, te zaś są zawsze wytworami określonej rzeczywistości społecznej.

Trzeba też zwrócić uwagę na jedno: czytelnik konfrontuje z treściami dzieła swoje treści wewnętrzne, najgłębiej własne, najściślej intymne, często niezupełnie zgodne z „oficjalnie“ wyznaczonymi przez niego poglądami. Dlatego też jego upodobanie czytelnicze mówię nie tylko o jego stosunku do literatury, ale także o stosunku do rzeczywistości historyczno-społecznej, w której żyć mu wypadło. Odbijają w sobie jego ukryte, przemilczone upodobania i skłonności, demaskują jego fałszywe wewnętrzne i ukazują jego prawdziwe zewnętrzne, „przekonań“. W pojedynku duchowym z autorem książki czytelnik demaskuje się, gdyż ujawnia najbardziej własne rezerwy psychiczne, pozwala sobie na absolutną szczerotę reakcji, ponieważ jest zabezpieczony przed wszelką obserwacją z zewnątrz, izolowany od świata, zamknięty wśród mgławic i konstelacji własnego mikrokosmosu psychicznego.

Oto powód, dla którego protestuję przeciw bałwochwalstwu upodobania literackiego jako prywatnej świętości. Przecież uświadamia sobie każde dlaczego, po co i skąd takiego upodobania to rozszerzyć ogromnie zarówno wiedzę o własnym życiu psychicznym jak i o swoim prawdziwym stosunku do rzeczywistości historyczno-społecznej, a zarazem uzyskać instruktywne wskazania samowychowawcze. Chodzi tu o higienę życia duchowego, o możliwość najbardziej racjonalną gospodarkę zasobami swoich potencjalnych możliwości, o permanentny rachunek sumienia intelektualnego, o sprawiedliwe, jakiegoś dydaktyki środowiskowe, jakie tradycje myślenia i odczuwania znajdują swój wyraz w naszych czytelniczych skłonnościach, gustach i upodobaniach, o których rzekomo dyskutować nie należy. Te dydaktyki należy wyjaśnić sobie, zbadać ich rozumową zasadność i celowość społeczną z punktu widzenia współczesnej obiektywnej wiedzy o świecie i z punktu widzenia potrzeb aktualnej sytuacji historyczno-społecznej. Uświadamie sobie swoje własne „ja“ jako fakt społeczny i historyczny i kierować celowo jego życiem i rozwojem — oto program pozytywny wpisany w krytykę naiwnego kultu upodobań czytelniczych.

prezł — patrz M. Arcta „Słownik wyrazów obcych“, wydanie 18. Warszawa 1947, str. 272, szeptala 3, wiersz 17 od dołu. (Informacja na użytek p. Ostaszewskiego, żeby mu zaozczędzić trudu).

tana, Krystyna Krystosiak (Zespół Pieśni i Tańca).

— Jedną mamy bolączkę — lokal. Świeltlice przy działach produkcji są małe. Wykorzystuje się je na zebrania, masówki i tak dalej. Świeltlica centralna Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej ciągle jest zajęta na różne okolicznościowe imprezy. Pozostaje Dom Kultury, ale tam...

Dom Kultury. Jest właśnie w remoncie. Sala wspaniała, z balkonem, może pomieścić półtora tysiąca ludzi. Ale cóż: na potrzeby paru zespołów jedna sala, choćby największa, nie wystarczy. Chór, balet i orkiestra potrzebują dużo miejsca no i estrady, a teatr też musi próbować na scenie. Poza tym za estradą są tylko dwa małe pokoje, co też bardzo utrudnia pracę, bo cóż wart teatr bez kulisy?

Sądę jednak, że fabryka, w której tyle zrozumienia okazuje się sprawom kulturalnym — znajdzie fundusze i miejsce na wybudowanie jeszcze jednej sali, przystosowanej już do potrzeb teatru.

Gdy chętkiem przemycamy się pod zachłapanymi wapnem rusztowaniami, robotnicy zdejmują właśnie ckną do mycia. Za parę dni przez czyste szyby wpadać będą promienie jesiennego słońca, a z oświetlonej estrady popłynie znów muzyka i śpiew, tyle radości wnoszące do naszego życia.

Wanda Piętkowska

W rozważaniach naszych uwzględniliśmy fakt, że upodobanie to ustala się nie w wyniku adekwatnego, obiektywnego poznania dzieła, ale jako osad psychiczny wszystkich, zarówno intelektualnych jak i emocjonalnych reakcji przeżytych podczas lektury tekstu. Czytelnik treści podane mu przez autora przystosowuje do siebie. Jego skala wrażliwości emocjonalnej, sprawność umysłu, zainteresowania, zasób dotychczasowych doświadczeń życiowych, wykształcenie, czytanie itd. określają jego możliwości percepcji estetycznej. Na pewne elementy utworu będzie on szczególnie uczulony, innych nie dostrzeże w ogóle, jeszcze inne zaś przyswoi sobie w formie mocno zniekształconej, a wreszcie to i owo „wyczyta“ w dzieło, dopatry się w nim rzeczy, o których autorowi ani się nie śniło. Te właśnie indywidualne konkretizacje dzieła a nie dzieła same decydują o naszym wartościowaniu książek, z nich zbieramy przesłanki do budowania swojej hierarchii utworów literackich. Każda konkretizacja dzieła literackiego zawiera w sobie elementy subiektywne — i na to nie ma rady. Ale ten subiektywizm można również w pewnym przynajmniej stopniu poddać kontroli świadomości. Można np. — w przybliżeniu choćby — określić granice naszego pojmowania i naszej wrażliwości i powstrzymać się od wydawania sądów o wszystkim, co znajduje się poza tą granicą. Można konfrontując swój sąd o jakimś utworze z opiniami innych zorientować się, co w tym sądzie pozostaje ściśle prywatne, nieprzetłumaczalne na kategorię doświadczenia zbiorowego. Nie o praktyczne wskazówki chodzi mi zresztą w tym wypadku, ale jedynie o zaakcentowanie tego faktu, że subiektywność konkretizacji czytelniczej dzieła jest subiektywnością względną i że zawarty w nich element reakcji czysto emocjonalnych również można poddać nadzorowi i gospodarce intelektu.

Rzecz w tym, żeby nie postąpić odwrotnie: żeby nie ućnić z intelektem giermka i adwokata emocji. Najgroźniejszy jest irracjonalizm występujący w zebraniu racjonalizmu, irracjonalizm przyzwoity z różnego rodzaju pseudoracjonalizacjami, przy których pomocy chęć uzasadnić swe prawo do istnienia różne prywatne mitologie, przywidzenia i złudzenia.

Konkretyzacja czytelnicza dzieła — to także pewna forma twórczości. I o to właśnie chodzi, aby tę twórczość spotęgować do maksimum, aby ućnić ją jednym z ogniw ciągłego, nieprzerwanego procesu kształtowania przez odbiorcę cudzych dzieł swego „ja“ — pojętego jako własne dzieło. Nie bierna, buddyjska kontemplacja Płeka na przez wielkie „P“, ale konkretna, świadome, celowe d z i a ł a n i e h u m a n i s t y c z n e.

Modne stają się obecnie fantazje na temat podróży międzyplanetarnych. Ale w tej branży ktoś odważy się włączyć lutnię po Bekwaraku-Lemie? Nlech już on tam projektuje urbanistykę tzw. miast gwiazdnych i przygotowuje dla przyszłego „Kosmos - Orbisu“ mapę szlaków wycieczkowych do biuletynu informacyjnego „Wczasy wśród gwiazd“. Mnie wystarczy zwykły ludzki mikrokosmos i propaganda odkrywczych, pionierskich wypraw w jego głębinę, podejmowanych pod rąbnym imieniem przy Goethego hasłem „Więcej światła!“

W polemice z p. Ezupowiczową uświadomiłem mocno zaakcentowałem kwestię upodobań czytelniczych zwróconych ku dziełu przynoszacemu wizję świata, będącą spełnieniem naszych prywatnych życzeń. Ponieważ zależało mi na wywołaniu dyskusji, pewne sformułowania zastrzeżłem celowo. Chciałem jednak wywołać dyskusję na temat spraw o pierwszorzędnej doniosłości kulturalnej, a rzucano się na mnie o obraz Sienkiewicza. Jest to dla mnie tym bardziej kłopotliwe, że ani mi do głowy nie przyszło uważać się za konfuziara antysienkiewiczowskich kampanii Prusa, Nalkowskiego, Brzozowskiego. Pisałem przecież, że jako mistrz narracji reprezentuje on w naszej literaturze taki poziom mistrzostwa, jak w angielskiej Dickens (to jest sprawa analogiczności rang pisarskich a nie pokrewieństwa talentów, jak sędzi p. Świdorska). Paralele Sienkiewicza — Dumas odrzucam świadomie, ponieważ Sienkiewicza uważam za artystę z prawdziwego zdarzenia, Dumas zaś za sprytnego fabrykanta poczynnych sensacji. Jako autora romansów przygodowych zestawiam go (znów ze względu na rangę pisarstwa nie zaś, pokrewieństwa talentów) ze Stevensonem, a więc gwiazdą pierwszorzędnej wielkości jeśli chodzi o reprezentantów tego rodzaju literatury. Przyznaję lojalnie, że pisząc o najwybitniejszych osiągnięciach Sienkiewicza pominałem jego noweliastykę, zawierającą szereg utworów o pierwszorzędnej wartości. Kon-

kretyzując abstrakcyjną nieco formułę Potockiego o Sienkiewiczu genialnie przeciętnym nazwę go wręcz Homerem polanieczynny. Homer, tak Homer — tylko, że Homer świata oglądane z okien saloniku „kochanego pana Stacha“. Jan Parandowski, pisarz, którego nie podobna pomówić o antypatii dla autora „Szkiców węglem“, pisze w swojej „Alchemii słowa“: „Sienkiewicza zubożył wydany przed laty tom drobniaków, zawierający przemówienia, odpowiedzi na ankiety, wywiady, artykuły, czyli rzeczy, w których mówił od siebie bez pomocy Kmiciców i Wolodyjowskich. Odstąpił się w nich szczególny niedostatek wielkiego artysty, który o niczym nie zdołał powiedzieć własnego, nowego, głębokiego słowa. Wybrane zaś z jego pism „złote myśli“ są mądrością z kalendarza“. Talent jest specyficznym rodzajem inteligencji i nie musi bynajmniej iść w parze z wybitnym uzdolnieniem w zakresie myślenia dyskursywnego. Sienkiewicz nie jest pod tym względem wyjątkiem. Nie byli geniuszami intelektu ani Fredro, ani Lenartowicz, ani Reymont, ani Weysenhoff, ani Sieroszewski a przecież wszyscy oni pozostawili po sobie rzeczy nieprzeciętnej miary. Stwierdzenie takie nikomu nie ubliża, określa ono po prostu pewien stan faktyczny.

TWORCZOŚĆ pisarzy typu Sienkiewicza największe sukcesy osiąga wtedy, gdy bierze za swój przedmiot gotowe, ustalone i nie podlegające już przekształceniom formy egzystencji i myślenia, speyfikowane systemy wartości. Ukazuje ona wizję świata zamkniętą w swojej doskonałości definitywnych określeń, raz na zawsze ustalonych hierarchii, przecinających wszelkie dyskusje i likwidujących wszelkie wątpliwości ostatecznych i nieodwołalnych osądów. Na tym polega urok tego świata: na jego określoności, jasności i harmonii. Wszelkie zło, cierpienie i nieszczęście jest w nim czymś przypadkowym i nielotnym, chwilowym tylko zakłóceniem naturalnego ładu. Taka klasycznie pogodna i klasycznie harmonijna wizja świata dojrzywać może tylko w kręgu cywilizacji zamkniętych, za najwyższe dobro uznających trwałe określone status quo, niezmienności form bytowania społecznego i niezmienności istniejących formacji kulturowych. Twórczość tego typu osiągać może szczyty doskonałości artystycznej jako wyraz w pełni dojrzałego, skryształowanego ostatecznie stylu życia i myślenia, ale w swoich konsekwencjach kulturowych i socjalnych zwraca się przeciw prawom historii, przeciw dialektyce nieustannego rozwoju; jest próbą nadania absolutnej wartości temu, co stanowi jedno z ogniw nieskończonego łańcucha przeobrażeń.

LE ostrożnie z tą dynamiką! Sam fakt, że coś się porusza, nie przesądza w niczym k i e r u n k u o w o g o r z c h u. I t u n a p o t y k a m y z a g a d n i e n i e „czarnego realizmu“. Analogie jego z „czarnym realizmem“ amerykańskim są daleko istotniejsze niż to by się z pozoru wydawać mogło. Oba są krytyką i to krytyką często bardzo dogłębną i trafną zastanej rzeczywistości. Bernanos, Mauriac, Graham Green uderzają bardzo mocno w rozmaite schorzenia i skostnienia niszczące organizm społeczności chrześcijańskiej. Są również bezlitosni w obnażaniu zła i stawianiu diagnoz jak wielcy przedstawiciele „czarnego realizmu“. Ten sam jest w obu wypadkach punkt wyjścia: protest przeciw rzeczywistości, w której się tkwi — i ten sam punkt dojścia: bezradność i bezdziejowość.

Owszem, jest także różnica — i to bardzo istotna — wynikająca z faktu, że chrześcijanin nie może przyjąć postawy pesymizmu metafizycznego. Chroni go przed nim świadomość istnienia Łaski. Świadomość ta nie chroni jednak przed pesymizmem historycznym. Kubacki w swym pięknym i głębokim studium o Mauriacu akcentuje mocno charakterystyczną dla autora „Kłębowska zmił“ naturalistyczną koncepcję człowieka, pojmowanego jako złeprawione do gruntu, czysto biologiczne indywidualium, które od zagłady ocalić może tylko Łaska, i pisze: „Obraz życia, jaki daje wielki pisarz katolicki, zarysowuje się teraz wyraźnie. Działalność ludzka nie może naprawić świata: ani na drodze reform społecznych (...), ani za pomocą wychowania. Zła nie można uleczyć“. W innym zaś miejscu mówi Kubacki: „Stan społeczno-moralny bezradności, czyli literacko mówiąc, naturalistyczny obraz niezmiennego świata jest konieczną przesłanką dla wniosku o Łascę jako jedynym środku naprawy zła i słuszenie konkluduje: „Rozwiązanie przy pomocy uderzenia Łaski nie może zastąpić poctehy humanistycznej, nie może nas natchnąć wiarą w człowieka.“

Głębszy i poważniejszy niż Mau-

riac Bernanos nie umieszcza zła w świecie biologii, a więc na zewnątrz duszy ludzkiej. U niego dramat zła i dobra, grzechu i Łaski rozgrywa się we wnętrzu człowieka. Ale ten człowiek egzystuje również poza wszelką wspólnotą humanistyczną. Jest sam na sam z Bogiem i szatanem; stanowi ich plac boju. Wszystkie treści społeczne zostają u Bernanosa przewartościowane na problemy moralne, na elementy rozgrywki metafizycznej potęg. Bernanosowska mitologia zla wyprowadza nas w ostatecznych konsekwencjach tak samo poza historię jak biologizm Mauriaca.

To nie przypadek, że Bernanos u schyłku życia począł głosić potęgę cywilizacji przemysłowej; to nie przypadek, że Mauriac znalazł się w pewnym momencie w szeregach skrajnej prawicy francuskiej. Te punkty dościa obu pisarzy były wyznaczone ich rozwojem jako artystów i myślicieli. Wyciągając ostateczne konsekwencje ze swoich stanowisk myślowych musieli zawędrwać na pozycje otwartego buntu przeciw cywilizacji i historii. Spozza metafizykujących i teologizujących mitologii wychyliła się inteligencka desperacja, niezdolna radzić sobie z konkretnymi problemami bieżącej rzeczywistości. Optimizm metafizyczny jako lek na tę desperację? Dziękujemy za

J. EZUPOWICZOWA

## Jakie książki są narzędziem automistyfikacji?

„Między człowiekiem a człowiekiem jest ciemność“ — te ponure słowa Nalkowskiej stanęły mi w pamięci, gdy czytałem odpowiedź p. Lichanńskiego na mój list o „Dziś i Jutro“, zamieszczony w Nr 33 „Dziś i Jutro“.

Pierwsze nieporozumienie: chodziło mi przecież nie o sam, f a k t krytyki, ale o jej i o n. Krytyka jest niezbędna, uczy bowiem patrzeć i wartościować, pobudza do myślenia, otwiera nieznane horyzonty. Ale czy dopuszczalny jest w niej ton uszczuplony? W każdym razie nie w stosunku do pisarza, który wszedł i to w sposób tryumfalny do literatury swego narodu. Nie myślę tu o demagogicznego frazesu o „szarganiu świętości“, choć p. Lichanński uprzedziło go podpowiada. Mówiąc sama za siebie, stwierdzam tylko, że taki ton czytelnika nie przekonuje, lecz drażni.

Z mojego postulatów „poszanowania cudzych umiłow“ p. Lichanński wysnuwa najdalej idące konsekwencje. Proszę bardzo nie zamierzać przed nimi się cofać. I ręczę, że gdyby mi wypadło mówić o „Dziś i Jutro“ z Koltuniewiczową, nie wykrzyknęłabym: „ależ to bzdura i brednia“, ani też nie zapytałabym słowami pana Lichanńskiego: „po co pani te książki tak lubi?“ (bo która zresztą potrafi określić e i l swoich uczuć?). Powiedziałabym tylko: „książka jest napisana poprawnym stylem, daje niedzielną charakterystykę arytektacji, zawiera dość sympatyczną tendencję antykastową, lecz nie posiada istotnej wartości literackiej, bo fałszywie obraz uczył ludzkiego. Może być nawet szkodliwa, bo myślenia i rozstrzygnięcia, co więcej wartości, który ujemnie oddziałuje na pozycje dwójka ludzi.“

Sądzę, że taka wypowiedź nie dotknęłaby p. Koltuniewiczowej i nie wzbudziłaby w niej oporów emocjonalnych przeciw mojej ocenie, a mi to daleko pewna satysfakcja, że podparłam moją amatorską „krytykę“ argumentem rzeczowym, a nie zasypiałam jej gołosłownymi określeniami a la „matolokowały Winicjusz“.

Moja owo o sadach czytelników, chciałabym też zapytać, czy nie należy odróżniać sympatii dla książki od sympatii dla samej jej i a b u ł y? W „Trędowatej“ czytelnik adora ją niewątpliwie sama bajka o miłości Stefci i Waleriana, bajka będąca źródłem wrażeń z a s t e p c z y c h t z n. u p r a g n i o n y c h, l e c z n e o s a g a l n y c h w r e a l n y m j e z y c i u.

„Ale „kochać książkę“ to znaczy zachwycić się tym, co stanowi obraz osobowości twórczej autora: artystycznym formu, lub istniejącą w dziele podstawowym problemem i postawą autora wobec niego. Wiernym obrazem życia, ukazaną drogą lub protestem wobec pewnych zjawisk.

Jeśli zgodzimy się na takie poławienie sprawy, nie będziemy mogli założyć „Trędowatej“ i innych szlabizn do księzek, otonionych miłością czytelników.“

Od wrażeń zastępczych krok jeden do automistyfikacji. Jak sądzę, pod tym wyrażeniem p. Lichanński rozumie chorliwą i kłamiwą postawę człowieka wobec samego siebie. „Świat nie-rezeczywisty mi nie odpowiada, więc uciekam od rzeczywistości, delectuję się obrazem świata nie-rezeczywistym, f a ł s z y m y m“. Przeciw takiej automistyfikacji wypowiadam się i ja zgodnie z p. Lichanńskim. Tylko, które to dzieła literackie uznamy za jej narzędzia? Uważam, że książka-mistyfikacja jest! Jeśli zaliczy Pan do nich dzieła Sienkiewicza z Z. Kossak — to ja znów zaponuję stosując własne Pana kryteria.

Zada Pan od arcydzieł literackich — jest się nie miłe przed wszystkim: prawdy historycznej i wyuścielenie problemów najistotniejszych dla danej epoki. — Ja bym wzięła tu jeszcze pod uwagę walory wychowawcze oraz rolę i sposób oddziaływania na czytelnika.

ten optymizm okupiony ceną zniszczenia i zaprzeczenia wartości humanistycznych.

W intelektualnej i artystycznej klęsce czołowych przedstawicieli „czarnego katolicyzmu“ odsłaniają się korzenie jego podstawowych determinacji socjalnych i okazuje się, że korzenie te tkwią jednak w podglebiu społecznym burżuazji. I to określa nasz stosunek do niego: możemy korzystać z tego, co było w nim negacją, protestem, krytyką, ale nie wolno nam pozostać w kręgu jego ideowych sugestii.

KRAG naszych rozważań zamyka się. Zagadnienie ideału twórcy kojarzy się ściśle z zagadnieniem ideału odbiorcy. Oba bowiem wynikają z tego samego pojmowania literatury jako narzędzia samopoznania ludzkości, jako wielkiego warsztatu twórczych antycypacji.

Na moment jeszcze wróćmy do naszej dyskusji. Otóż p. Ezupowiczowa przypuszcza, że ja rozumem przez automistyfikację „chorliwą i kłamiwą postawę człowieka wobec siebie“. Nie, jak najbardziej: nie! Nie chodzi mi o kwestie moralne: od tego są spowiednicy i kaznodzieje. Przez automistyfikację rozumem próby oszukiwania i dławienia w nas człowieka historycznego, człowieka społecznego w celu zapewnienia jak największej „przeżyciowości“ — małemu, prywatnemu człowieczkowi. Przeciwi tej zbrodni popełnianej na sobie samym protestowałem poprzednio i protestuję teraz. A dlaczego? Zrozumieć to łatwo. „Ale trzeba z tego czasu być“ — jak powiedział kiedyś Apollinaire.

Stefan Lichanński

o własnej produkcji, metodach pracy, współzawodnictwie...

— Chcemy, na przykład, nakręcić krótkometrażówki, gdzie dokładnie byłyby pokazane wszystkie fazy jakiejś metody, którą na swojej maszynie wypracował sobie szczególnie nasz robotnik. Taki film mógłby potem dopomóc innym do usprawnienia jakiegoś odcinka pracy. Czy nie dobry pomysł?

Doskonali. I wart naśladowania. — Któż to u was prowadzi?

— Zdzisław Kalafarski. I prowadzi bardzo dobrze. Ludzie dużo korzystają.

— No, sądząc z dotychczasowych osiągnięć, to przewodzić komisji kulturalno-osiawitowej w ogóle dobrał sobie pracowników odpowiedzialnych i z sercem do roboty. Nie wiele fabryk może pochwalić się podobną aktywnością kulturalną.

W „Ursusie“ każda próba zespołów artystycznych jest jednocześnie w jakimś stopniu pomnożeniem wiedzy ogólnej o sztuce, epoce danego utworu, autorze, stylach... Zachęca o pracy artystycznej są niewiele i dyplomy uznania, którymi Rada Zakładowa w porozumieniu z Dyrekcją „Ursusa“ i komisją kulturalną odznacza najzdolniejszych i najczynniejszych artystów. Oto parę nazwisk wyjętych na chybił-trafił z listy: Halina Nazarkowska, Jan Stepien, Maria Przybylska (Zespół Teatralny), Ryszard Lewandowski, Wiesław Ka-

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 12 zł. Kwartalnik 32 zł. Adres Redakcji: Administracja: Molekowska 43, tel. 8-40-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przysyłać wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakładu Drukarskiego i Wsklepowo-Druckowe RSW „Prasa“ w/w, Marszałkowska 3/5. Zam. Nr 2173. 5-15-150110

# Po co OGRÓD ZOOLOGICZNY?

czym. Kielkowały też już wówczas idee ewolucyjne, ale ani w pierwszej ani w drugiej z tych dziedzin żywe pojedyncze egzemplarze z każdego gatunku zwierzęcego nie dawały uczonym wystarczającego materiału do badań. Ośrodkiem ich zainteresowania stało się zoologiczne badanie rozporządzające większą ilością egzemplarzy każdego gatunku w postaci skóry i kości, które można było pomierzyć i obejrzeć ze wszystkimi szczegółami.

Toteż zignorowane przez naukowców ZOO może być — po paru dziesiętnościach lat wegetacji — skończyło swe istnienie jako nierealna mrzonka uczonemu, gdyby nie wykazało żywotności na zupełnie nowym odcinku. Był to przecież młodziwiec okres kapitalizmu. Energiczni i rzutcy przedsiębiorcy, szukający za wszelką cenę i gdzie się da możliwości pokaznego zarobku, zwrócili uwagę na atrakcyjność zwierząt egzotycznych oraz zainteresowanie, jakie budziły one wśród publiczności. Ogród zoologiczny, jako przedsiębiorstwo widowiskowe, okazał się intratnym źródłem dochodu, po tej też linii szedł jego rozwój przez cały wiek XIX i pierwsze ćwierćwiecze XX.

Jeszcze Londyński Ogród Zoologiczny założony został zgodnie z tradycjami St. Hilaire'a przez Naukowe Towarzystwo Zoologiczne — obejmując skrawek obrzybnego publicznego Regent's Parku; stał się jednak szybko wyłącznie ulubionym miejscem spotkań publiczności wiktoriańskiej, nauce przystępując się zaledwie o tyle, że pokazywał zasilaną kasę utrzymującą go Towarzystwo. Podobnie rzecz się miała z młodszym o dziesięć lat ZOO w Amsterdamie, założonym przez Towarzystwo Naukowe „Natura Artis Magistra”.

Ale już o dwa lata wcześniej w Niemczech, w Berlinie, nie uznano nawet za potrzebne kryć się pod płaszczyk naukowości. Tamtejszy Ogród Zoologiczny, położony na wydziale terenu dawnego królewskiego Tiergartenu (zwierzyńca), powstał w 1836 r. jako zwykłe przedsiębiorstwo akcyjne, obliczone, na dochody dla udziałowców i nie zmieniając swego oblicza oraz nastawienia przetrwał aż do ostatniej wojny.

Od tych czasów każdy prawie rok zaznacza się powstaniem nowego ZOO w Europie, po prostu wszystkie większe miasta w snobistycznej rywalizacji chcą mieć własny ogród zoologiczny. Przedsiębiorcą za każdym razem jest bądź muni-cypalność miasta, bądź — użo-rem Berlina — prywatne towarzystwo akcyjne.

Ogólnemu pędowi nie oparła się i Warszawa. Na Bagateli, tam gdzie do czasów ostatniej wojny mieściło się Towarzystwo Ogrodnicze, powstało w roku 1881 pierwsze warszawskie ZOO, jako przedsiębiorstwo akcyjne, które jednak zbankrutowało po 10 latach istnienia. Los jego był symptomem charakterystycznym dla końca XIX wieku. Wtedy to bowiem zaczęła się budzić — niezbyt szczerą zresztą, bo przede wszystkim na mieszczańskim sentymentalizmie oparta — reakcja przeciwko ogrodom zoologicznym. Uznano bowiem za objaw dobrego tonu, za wyraźny dowód osobistej kultury ubolewanie nad dołą biednych zwierząt trzymanych za kratami. Głosy te — jak mówiłem — nie były szczerze, gdyż przez to rzeczywistość los zwierząt nie obchodził nikogo. Nikt nie interesował się ani nie studiował, jak należy aklimatyzować zwierzęta egzotyczne, aby było im pod opieką człowieka możliwie dobrze. Głównym punktem emocjonalnego podniecenia widzów były kraty kojarzące się wyraźnie z więzieniem ludzkim. Zarządy przedsiębiorstw

ogrodów zoologicznych zostały jednak tym stanem rzeczy poważnie zaniepokojone. Starano się podjąć walkę obronną, z miernym szczęściem szermując argumentami o naukowym znaczeniu ogrodu zoologicznego.

Ważnym i trafniej, mimo woli zresztą demaskującą obudę atakujących ogrody zoologiczne, postąpił Karol Hagenbeck — przedsiębiorca hamburski, który od lat zmonopolizował w swych rękach handel zwierzętami dla ogrodów zoologicznych. Wyczuwając wężem dobrego kupca, iż całe zagadnienie — jak już mówiliśmy — obraca się tylko wokół pojęcia „krata”, dużym nakładem kosztów wybudował w swym rodzinnym mieście Zoo bez żadnych żelaznych pręgnów, gdzie zwierzęta zostały od publiczności oddzielone odpowiednio szeroką fosą z wodą. Swoją ogrod, powstały w 1907 r., Hagenbeck umiejętnie rozreklamował dając mu wiele mówiący tytuł „Tierparadies” (raj zwierząt). Chwył ułd się calkowicie, opinia publiczna została zupełnie uspokojona.

Niemniej Hagenbeck czysto businessowym posunięciem stworzył przełomowy etap w technice prowadzenia ogrodów zoologicznych. Ogrodzenie fosowe wymagało znacznie więcej miejsca aniżeli balustrada żelazna, nadawało się zatem głównie dla wybiegów zewnętrznych, stąd idee hagenbeckowską kontynuować można było skutecznie tylko po uprzednim przelaminowaniu w pawilonach ogrzewanych do 25 st. Tę tezę postawił — a co ważniejsze udowodnił — Hagenbeck, mimo oporów teoretyków zagadnienia i tym dał podwaliny pod realizację rzeczywistych osiągnięć aklimatyzacyjnych.

Okazały się zadziwiająco paradoksy: że na przykład lwy gorzej znoszą nasze europejskie dni letnie aniżeli psy, że białe niedźwiedzie wcale znów tak bardzo nie pożądadają mrozów... A co najważniejsze, każde zwierzę ma swoje bardzo różnorodne indywidualne wymagania, daleko bogatsze aniżeli ciepło i obfite pożywienie, gdyż tylko na te dwa czynniki zwracano dotychczas uwagę. Przy czym, jeśli chodzi o pożywienie, nie obfitość jego, lecz jakość i możliwe urozmaicenie okazało się kwestią najważniejszą.

Jak widać z powyższego, ogrody zoologiczne od czasów Hagenbecka zaczęły tworzyć swoje własne zagadnienia naukowe, odrębne dla każdej miejscowości, a mianowicie właściwie przeprowadzenie, w danych lokalnych warunkach, aklimatyzacji określonych gatunków dzikich zwierząt.

Równocześnie jednak i oficjalna biologia w dużym już stopniu zapomniała swe zainteresowania na odcinku morfologiczno-anatomicznym. W drugiej połowie zeszłego stulecia coraz bardziej do głosu zaczęła dochodzić fizjologia, której zadaniem jest odpowiedź nie na pytanie, jak zwierzę wygląda, lecz jak funkcjonuje. Przy takich założeniach martwe resztki z muzeów zoologicznych stały się bardzo mało przydatne. Przedmiotem doświadczeń musiał teraz być żywy osobnik, bądź przynajmniej jego świeża wydzieliną czy wydalina. Jednocześnie zaś i reformy nauczania szkolnego zaczęły zwałować dotychczasowy werbalizm żądając zapoznawania uczniów z autentycznymi obiektami, których omówienie przewidywał program. Tak więc i z zewnątrz — zarówno od strony

nauki, jak i dydaktyki — wzrosło jego zainteresowanie ogrodem zoologicznym.

Pierwszym Zoo o charakterze ściśle naukowym stał się Ogród moskiewski, gdy w roku 1921 zarówno on, jak i wszystkie ogrody zoologiczne radzieckie zostały podporządkowane Departamentowi Nauki w Ministerstwie Oświaty. Stynne są w całym świecie badania przeprowadzone w moskiewskim ZOO nad psychologią szympansa. Dużą wartość teoretyczną, ale równocześnie i gospodarczą miało doprowadzenie do końca bardzo trudnych a znużających obserwacji nad biologią sobola, których wynikiem było uzyskanie przychowka od tych

cennych zwierząt po raz pierwszy w sztucznych warunkach niewoli.

Obecnie więc ogród zoologiczny należy traktować po prostu jako fermę hodowlaną — aklimatyzacyjną, nie zapominając o jego dydaktyczno-wychowawczym oddziaływaniu na zwracającą publiczność. Oczywiście, pod tym ostatnim względem pozytywne wyniki osiągnąć może tylko dobrze prowadzone ZOO, wszystkie bowiem niedociągnięcia na jego terenie będą jedynie utrwalone w publiczności pokutujące z dawnych czasów przekonanie, iż jest to miejsce rozrywki człowieka, opłaconej męczarnią i śmiercią tysięcy zwierząt.

Jan Żabiński



Na ogół każdy z nas lubi zwierzęta. Warszawski Ogród Zoologiczny od dawna cieszy się uznaniem publiczności, lecz w społeczeństwie nie bardzo jeszcze wykrystalizował się ostateczny pogląd, jakie zadania stoją przed tego rodzaju instytucją i jaki jest cel jej założenia.

Mimo, iż ogrody zoologiczne, w ich nowoczesnej formie, istnieją już od 160 lat, po dziś dzień — zwłaszcza na naszym terenie — istnieje wiele zaprzątań na tę sprawę. Jedni widzą w nich placówkę naukową, inni interesującą widowisko, jeszcze inni po prostu — więzienie dla zwierząt...

Ponieważ jednak tak sprzeczne mniemania odpowiadają poszczególne etapom rozwoju tych instytucji, wydaje mi się, iż najwłaściwszym naszym przeglądem powstawania ogrodów zoologicznych

w Europie, gdyż to najlepiej nasświetli nasze tytułowe zagadnienie.

Trzymanie dzikich zwierząt w niewoli bez żadnego użytkowego z nich pożytku, bo nawet w celu przyszłego polowania na nie, od najdawniejszych czasów wiąże się z zainteresowaniem, jakie budziła egzotyka: „dziwy i cuda krajów zamorskich”. Oczywiście — na taki luksus, jak posiadanie na własność lwów, stoni czy tygrysów, pozwolić sobie mogli tylko naprawdę możni tego świata. Toteż pierwsze ogrody zoologiczne powstają z dawnych zwierzyńców najpotężniejszych władców Europy, a mianowicie króla Francji i cesarza Rzeszy Niemieckiej. Po zgilotynowaniu Ludwika XVI zjawiał się między innymi problem, co robić ze zwierzętami pozostającymi w królewskim zwierzyńcu w Wersalu. I oto wielki zoolog francuski, Geoffroy St. Hilaire, złożył do Komitetu projekt rozwiązujący to zagadnienie w zupełnie nowatorski sposób. — Dobra królewskie jego zdaniem — powinny stać się własnością obywateli, a więc i zwierzęta winny służyć ludowi paryskiemu, jednak nie — jak dotychczas — dla rozrywki i przyjemności właściciela, lecz dla pogłębienia wiedzy zoologicznej i znajomości zwierząt, do celów naukowych. Pojęcie to było na wskroś nowoczesne, tego bowiem żądamy od dzisiejszych ogrodów zoologicznych.

Ale chociaż w myśl tych założeń powstał Jardin des Plantes w Paryżu — stając się ośrodkiem wiedzy biologicznej, gdyż, jak sama nazwa wskazuje, został tam jednocześnie założony ogród botaniczny, a nawet pobudowane muzea z różnych dziedzin wiedzy przyrodniczej — myśl wielkiego uczonemu francuskiemu nie została przez tę instytucję — jeśli chodzi o ogród zoologiczny — zrealizowana. Idea Geoffroy St. Hilaire'a powiązania ogrodu zoologicznego z nauką była zbyt dalekowzroczna i dała się urzeczywistnić dopiero o cały wiek później. W początkach bowiem XIX stulecia, działalność przede wszystkim słynnego Cuviera pchnęła wszelkie zoologiczne zainteresowania badawcze w kierunku poznania budowy zwierząt — ich anatomii, zwłaszcza pod względem porównaw-



ZDZISŁAW UMIŃSKI

## Mrs Heather Jenner zaprasza...

Oczywiście — znam wiele dziewcząt. Mogłbym ożenić się kiedy tylko bym zechciała. Nie potrzebna mi jest pomoc tzw. „eksperci”. Jednakże... może się to okazać interesujące, bardzo interesujące. Wstąpię jednak...

Nie jeden mieszkaniec czy mieszkanka Londynu, zwabieni napisem: Marriage Bureau, przy Mayfair — lub też czasami z innego powodu — udają się na drugie piętro ciemnego domu czynszowego, gdzie przyjmują ich kierowniczką biura, Mrs Heather Jenner.

Pani Jenner z miejsca wzbudza w przybyszu zaufanie. Mówi cicho, lecz dobitnym głosem. Oczy jej uważnie patrzą na klienta, jak gdyby oczekiwała na jakieś głębsze wymurzenie. Zresztą nie zadaje zbędnych pytań. Może natomiast — poznawszy upodobania klienta — polecić uroczą, powabną i pełną wdzięku dziewczynę, czy starszą, lecz bogatą młodą kobietę i starzytę młodemu człowiekowi — lady. Zna również wielu starszych panów — określa ich często mianem „home lovers” — dysponujących zasobnymi książeczkami cze-

kowymi; zna także wysportowanych młodzieńców, którzy gotowi, są za wszelką cenę poznać ją w tajemnicy „balzakowskim”.

Zrozumiałe jest, że biuro matrymonialne przy Mayfair jest instytucją przede wszystkim merkantylną. Dlatego musi ono dysponować „towarem” jak najbardziej atrakcyjnym, a jeśli nie zawsze towar taki znajduje się „na składzie”, to przecież pozostaje jeszcze odpowiednia reklama osobników cieszących się na razie mniejszym popytem. Poza tym atmosfera pełna niezdrówleń emocji i podniecenia sprzyja działalności tej „społecznej” placówki.

Dziennikarz angielski, przedstawiciel znanego pisma „Leader Magazine”, które w podtytułach zwykle zamieszcza następujący napis: „To Read and Enjoy” („Czytaj i Baw się”) pragnie zapoznać swych czytelników z metodami pracy... Mamy Jenner. W tym celu przeprowadza z nią interview.

Pani Jenner chętnie udziela informacji — przecież to wyjątkowa okazja dla przeprowadzenia autoreklamy. — Posłuchajmy, co mówi ta

szczęśliwa mężatka i matka dwojga dzieci (fakt ten ma przecież nie małe znaczenie propagandowe).

„Pierwszym krokiem jest przeprowadzenie odpowiedniego wywiadu. Trwa to dostoż długi i wymaga znużających poszukiwań”. My przez to rozumiemy, że właścicielce biura chodzi niewątpliwie o ustalenie szczegółowych danych, nie wyłączając nawet przymiotów jak najbardziej intymnych. „Drugim etapem jest dobranie małżonka”.

W związku z tym Mrs Heather Jenner zapoznaje swego rozmówcę z listą zawierającą warunki, jakimi zwykle — jak zapewnia właścicielka zakładu — interesują się osoby zamierzające kogoś „poznać”. A więc: pozycja społeczna, wielkość rocznego dochodu, narodowość, wiek, typ osobowości, zainteresowania natury ogólnej; zalicza się tu rodzaj uprawianych gier sportowych, skłonność do przebywania w mieście względnie na wsi, wreszcie typ towarzyski — czy samotnik (liking to be alone) itd.

Wprawdzie kierowniczką biura stwierdza, że istnieje niebezpieczeństwo fałszywych informacji,

jednakże dodaje zaraz — aby uchronić swoje przedsiębiorstwo przed ewentualną plajtą z tego powodu — że informacje tego rodzaju występują raczej rzadko, nie wypływają ze złej woli, lecz po prostu z pewnych osobistych cech, „których istnienia żaden z nas nie może zaprzeczyć”.

Równocześnie Mrs Jenner zapoznaje czytelników „Leaders” z inną, może bardziej oryginalną listą. Tytuł jej brzmi: „Za kogo każdy siebie uważa”. Otóż niemal każdy klient Marriage Bureau twierdzi, iż posiada jedną lub kilka z niżej wymienionych cech: a więc, że ma zadatki na dobrego męża względnie żonę, że jest towarzyski, tolerancyjny (choćż wielu z mężczyzn — klientów Pani Jenner — zastrzega się, że nie znosi kobiet palących na ulicy), że ma znaczny zasób kultury, jest dobrym gospodarzem lub gospodynią i wreszcie — jest pracowity i przedsiębiorczy (tu pani Jenner dodaje, że kobiety, istoty z natury leniwe bardziej w to wierzą niż mężczyźni).

O ile, dzięki spełnieniu wymienionych warunków nastąpi „dobranie

małżeństwa” — oczywiście kandydatki już przedtem obejrzały fotografie, dowiedzieli się o wroście, wadze, objętości klatki piersiowej swego partnera — wówczas Pani Jenner pozwala sobie — co z dumą podkreśla — zwrócić uwagę klientowi np. na nieodpowiedni jego ubiór. Wygląda to mniej więcej w ten sposób: „Not quite that hat, perhaps” (kapelusze ten jest chyba nieodpowiedni) — mówi Pani Jenner.

Instrukcje tego rodzaju — nie mało ich było przed wojną w Polsce — to jeszcze jeden środek, o bok pornograficznych filmów i wydawnictw — szerczący demoralizację. Celem tego rodzaju instytucji jest bowiem — pomijając już śmiechomaganie w zawieraniu małżeństwa... „Pragnę poznać bogatego pana. Wyznanie, narodowość, zawód, zainteresowania obojętne. Jestem młoda, dobrze zbudowana”. Oto jedno z ogłoszeń często spotykanych na łamach londyńskich brukowców.

Ciekawe, czy Mrs Heather Jenner, szczęśliwa mężatka i matka dwojga dzieci, zajął się — z właściwą sobie umiejętnością i wdziękiem — tą ofertą, a „Leader” aby — nadszłym zdaniem — nie tylko ubawić czytelników, po raz wtóry zamieści wywiad z tą znaną osobistością. Zdziśław Umiński

## KILKA SŁÓW

### O teatrze

NA 500-LECIE POWROTU POMORZA GDANSKIEGO DO POLSKI

wystawili Gdańskie Teatr Lalek interesujące widowisko nawiązujące mimo swej formy legendarnej do historycznych spraw Gdańska i polskiego morza. Jest nim „Dumna legenda” opety gdańskimi Franciszka Fenikowskiego, utwor przewidywany na scenę z jego opowieści „Pierścien z Labędzi” i nagrodzony czołową nagrodą w niedawnym konkursie na sztukę lalkarską. Legendarnego Jana z Kolna ukazał Fenikowski jako prekursora nowych pojęć o świecie i społeczeństwie, inscenizatorzy zaś (B. Golebski i scenograf Ali Bunsch) zrobili ze sztuki o nim widowisko ideowo klarowne oraz bogate, pełne pomysłowych rozwiązań. Stronnie plastycznie i inscenizacyjnie nie dorównała jeszcze strona aktorska, natomiast dobrze je wsparła oparta na rodzimych motywach wczesnonawoczesnej muzyki J. Dobrzańskiego.

OBRAZCOW — LUDOWYM ARTYSTĄ ZSRR

Tytuł ludowego artysty ZSRR uzyskał ostatnio słynny artysta, reżyser i pedagog, od r. 1931 założyciel i dyrektor Centralnego Teatru Lalek w Moskwie, Sergiusz Obrazcow. Utworzył w ten sposób przeszło 30-letnią twórczość i na wskroś nowatorską działalność wielkiego artysty i teoretyka teatru lalkowego. Równie ceniony za granicą jak i w Związku Radzieckim, znany i w Polsce, Obrazcow jest również autorem dwóch prac książkowych: „Aktor i lalka” oraz „Moje wspomnienia”.

GOETHE I VERDI PO AMERYKANSKU

Do inscenizacyjnych dzieł w teatrze amerykańskiego dołączyły się ostatnio „nowe ujęcia” „Fausta” oraz „Balu maskowego”. Modernizując arcydzieło Goethego jeden z reżyserów nowojorskiego teatru wdrożył w reżyserii nowatorskie zmiany i teoretycznie i technicznie. Wskazywał na rolę główną wystąpił jako szeryf Teksasu, podczas gdy spiskowcy pojawili się na scenie w maskach i uzbrojeni w pistolety maszynowe najnowszej konstrukcji. Do muzyki Verdiego wprowadziła odzwierciedlając ją orkiestra jazzowa wiele zaskakujących dysonansów.

### O plastyce

ZGON ANDRÉ DERAINE

W ostatnich dniach w Paryżu, na skutek wypadku samochodowego, zmarł w wieku 74 lat sławny malarz francuski André Derain.

### MALARSTWO RELIGIJNE W CHICAGO

W Instytucie Sztuki w Chicago otwarte wystawie sztuki religijnej. Większość obrazów pochodzi z bogatej kolekcji tego Instytutu, pozyczone jednak także wiele dzieł z muzeów europejskich, między innymi z Luwru i z Rijksmuseum w Amsterdamie.

Spośród wystawionych płócien na specjalną uwagę zasługują: „Rozważanie” Carpaccio, „Zdjęcie z krzyża” Rembrandta, „Spotkanie św. Jana z Chrystusem” Giovanni di Paolo, „Ogród Gehemsem” Tycjana i „Anioł pisał” Milleta.

Oprócz tego ostatniego obrazu sztuki francuskiej reprezentują jeszcze „Zwiastowanie” Maira de Moulins oraz „Pięć Pousina. Delacroix, Deraina, Rouaulta i Chagalla.

### WYSTAWA PIOTRA BONNARD

Wielkie zainteresowanie zarówno wśród fachowców jak też szerokiego rzesz miłośników malarstwa wzbudziła otwarta ostatnio w Lyonie wystawa obrazów znanego impresjonisty francuskiego, Piotra Bonnard (1867—1947). Wystawa trwać będzie do końca września. Z wielkim nakładem pracy, z wielkim pietyzmem dla wielkiego malarza zgromadzone tu ponad 100 płócien olejnych, rysunków, litografii, akwarel — w niejednym wypadku prawie zupełnie nieznanymi — tego „uroczego Galka” — jak współcześni nazywali Bonnarda. Ze zgromadzonych eksponatów warto wspomnieć o takich płótnach jak „Życie malarza”, „Popołudnie rodzinne mieszczański”, „Zobieranie na świeżych”, która odzwierciedlała stosunek autora do otaczającego świata, a w szczególności dała jego osobę cyfrowo artystycznej, jak również krytykę życia mieszczańskiej rzeczywistości francuskiej.

### O wszystkim

#### JUBILEUSZOWE WYDAWNICTWO DZIEŁ CZECHOWA

Wiele wydawnictw radzieckich przygotowuje specjalne wydania jubileuszowe dzieł Czehowa. Wydawnictwo literatury pięknej przygotowuje 12-tomowe wydanie dzieł zebranych Czehowa. Łącznie nakłady wydanych w tym roku utworów Czehowa wyniosła 1800000 egzemplarzy. Obok dzieł oryginalnych ukazały się studia i monografie poświęcone Czehowowi i jego twórczości. Przy okazji warto przypomnieć czytelnikom polskim o wydanych niedawno przez PIW „Utworach dramatycznych” i „Wyborze pism” A. Czehowa.

#### ODKRYCIE RZYMSKIEJ ŚWIĄTYNI

W pobliżu katedry św. Pawła w Londynie odkryto ostatnio ruiny starożytnej świątyni rzymskiej. Prace wykopaliskowe, które trwały około 15 miesięcy odsłoniły niewielki budynek o 15 mtr długości i 7 mtr szerokości.

Archeolodzy przypuszczają, że świątynia ta została zbudowana w I wieku przed Chrystusem i że do końca IV wieku odbywały się w niej jeszcze pogankie nabożeństwa.

#### KATOLICYZM W JAPONII

W okresie od zakończenia II wojny światowej zanotowano poważny wzrost liczby katolików japońskich. Cyfry podane w bieżącym roku oceniają ilość katolików w Japonii na 200.000, przy czym zaznacza się, że cyfra ta jest ruchoma i że liczba katolików stale się powiększa. Jeśli się pamięta, że jeszcze w roku 1949 było w Japonii 102.846 katolików, to zestawienie obu danych cyfr nabiera naprawdę poważnej wymowy.

#### DZIEŁA TADEUSZA BOROŃSKIEGO

W witrażach księgarskich i na stoiskach buklistów pokazano się ostatnio zbiorowe wydanie utworów zmarłego trzy lata temu Tadeusza Borowskiego. Pięciotomowe wydawnictwo przynosi kompletny dorobek literacki tego utalentowanego pisarza, albowiem poza przedrukami jego książek i publicystyki znanych dotychczas, wydobyto z rekiopisów rzeczy znane tylko pośrednio czy też nieznane zupełnie.

Układ tego wydawnictwa jest następujący:

T. 1 — zawiera wiersze; T. 2 — prozę 1945 — 1947; T. 3 — krytykę literacką i artystyczną; T. 4 — publicystykę; T. 5 — prozę 1948 — 1951.

Cena wszystkich pięciu tomów oprawionych w sztywną, estetyczną okładkę wynosi 65 zł, a więc jest stosunkowo niewysoka. Szkoda tylko, że nakład taki mały (5000).